

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 13 KWIETNIA 1929 ROKU

NR. 15

TREŚĆ NUMERU: I temu trzeba zaradzić! — *Herminja Naglerowa*. Odwrotna strona medalu — *L. Ch.* Poezje: Strzępy i włókna: „Pociecha“, „Upiór“, „Sen“ — *Kazimiera Illakowiczówna*. „Sol invictus comes“ (dok.) — *Zofja Reutt-Witkowska*. Skłamane szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Orle spojrzenie — *Stefanja Podhorska-Okotłóro*. Ś. p. Zofja Kowerska — *Al. Świd.*, Małżeństwo (dok.) — *Wanda Dobrzańska*. Jak zbierać grzyby?.. — *Feliks Teodorowicz*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Wiosenne okrycia — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała“. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

I TEMU TRZEBA ZARADZIĆ!

Z wszystkich zagadnień i zadań społecznych, które zaktualizowały się w nowej rzeczywistości polskiej, najżywotniej i najrealniej potraktowano sprawę opieki nad dzieckiem. W tej dziedzinie zrobiono w istocie już bardzo wiele, gdyż dwa czynniki w tej pracy: programowość i zapał — przynieść musiały dodatnie rezultaty. Niewątpliwie jest jeszcze wiele do zrobienia i procent zaniedbanych dzieci jest u nas jeszcze zawsze bardzo duży. Ale raz nadany kierunek i rozpęd, oraz świetny przykład w tej pracy, jaki nam daje pani Marszałkowa Aleksandra Piłsudska, każe wierzyć, że braków będzie coraz mniej i że dziecku polskiemu będzie coraz lepiej.

Od żłobków i przedszkoli począwszy, troska o dziecko iść powinna dalej, poprzez wiek szkolny. Ale właśnie dzieciom w wieku szkolnym poświęca się u nas mniej uwagi, spychając poniekąd odpowiedzialność na szkołę. Wychowawczy wpływ szkoły, zwłaszcza szkoły powszechnej, jest jednak u nas dość problematyczny. Przepelnione klasy utrudniają już w znacznej mierze bezpośredniość oddziaływania wychowawcy na młodzież. A właśnie w szkole powszechnej trzeba wzmożonej pracy nad dziećmi, gdyż niejednokrotnie musi tu szkoła przeciwdziałać niekorzystnym, albo i szkodliwym wpływom domowym.

Ponieważ jednak dziecko spędza w szkole tylko 4 do 6-ciu godzin dziennie, a resztę dnia zostaje pod nadzorem i dozorem domowym, albo wogóle bez opieki, oddziaływanie szkoły bywa często niedostateczne. Dziecko przyzwyczaja się jedynie do t. zw. szkolnej dyscypliny na czas kilku godzin w szkole, umieszcza

niejako wszystkie piękne zasady etyczne i dobrego wychowania w ramach czasu, spędzanego w szkole. Późem już na resztę dnia stosuje inny, bardziej może wygodny, a pewnie przez nikogo nieskontrolowany i niekorygowany sposób życia. Już sama dwoistość życia takiego dziecka musi paczyć jego charakter. Trzeba tu jednak zaznaczyć, aby mnie nikt źle nie rozumiał, że nie można dziecka zawsze i ciągle trzymać w rygorze szkolnym. Chodzi mi tylko o to, że kierunek etyczny i wychowawczy należałoby jednolicie stosować w szkole i poza szkołą.

Sprawa takiego uzgodnienia wychowawczego jest najtrudniejszym zagadnieniem pedagogicznym, a rozdzwięk między metodą szkoły a systemem domowym jest, jak dotąd, zjawiskiem powszechnym. Dziś jednak aż nazbyt często „system domowy“ wcale nie istnieje, bo dziecko wobec pracy zarobkowej obojga rodziców, a więcej jeszcze wskutek złych warunków mieszkaniowych, „domu“ właściwie nie ma.

Zwęzła się w tem pospolitem dziś zjawisku cały kompleks spraw, o których rozwiązaniu mowy niema w dzisiejszych warunkach. Dlatego też nie zajmujemy się przyczynami, ale od razu przejdziemy do fatalnych skutków tej istotnej bezdomności i braku opieki nad dziećmi w wieku szkolnym. Mam tu na myśli przede wszystkim dzieci ze sfer ubogich, najgorzej uposażonych pod względem mieszkaniowym.

Gdzie i jak spędza takie dziecko swój wolny, pozaszkolny czas? Kto nad nim czuwa? I w jakich warunkach wyżywa się temperament jego dzieciństwa?

Nie szukajmy zbyt skomplikowanych odpowiedzi, nie gubmy się w domysłach! Dziecko to spędza swój wolny czas — na ulicy! Wszystko jedno, czy to ulica boczna, czy „pryncypalna“, handlowa, czy willowa — zawsze roi się na niej od dzieci w wieku szkolnym, dzieci obojga płci. Tu, na ulicy, rozgrywają się pomysłowe zabawy, tu tworzą się grupy i nieprzyjazne partje, tu słabszych krzywdzą silniejsi. Mały świat dziecinny, wszyty, powiedzmy pięknie — whaftowany w codzienność szarej ulicy! Brzmi to ciekawie, bodaj po literacku, a conajmniej ma posmaczek kinowy. Wśród tłoku i harmideru ulicy dzieci — zdobywające dla siebie miejsce pośpiechem swoich nóg, zwinnością i nieświadomością grożących im niebezpieczeństw!

Przyzwyczajiliśmy się już, że do życia ulicy warszawskiej, czy ulicy jakiegokolwiek innego miasta i miasteczka polskiego należy gonitwa i wrzask rozbawionych dzieci. Należą poprostu do obrazu naszej ulicy te źle ubrane, nieobute, brudne i prawie zdziczałe biedactwa. Serce zamiera z przerażenia, gdy się widzi, jak te dzieci bawią się w łapankę wśród rozpędzonych samochodów, jak w nieprzytomnym ferworze zabaw kluczą wśród ciżby wszelakich pojazdów. Niema zapewne u nas obliczeń statystycznych, któreby wykazywały, ile jest nieszczęśliwych wypadków, ile najstraszliwszych kalectw, spowodowanych uliczną zabawą dzieci.

Ale zło tego „zwyczaju“ mieści się jeszcze w czym innym. Oto dzieci, przebywając prawie pół dnia na ulicy, poznają zawczasie i w zbyt brutalnej formie życie.

Są przecież świadkami najrozmaitszych jaskrawych wybryków ludzi dorosłych, widzą pijaństwo, kradzieże, rajfurstwo, uliczne dziewczęta, przyjaźnią się z dziećmi, które już rozpoczęły karierę przestępczą, niemal już współżyją z nieszczęściem i upadkiem, z nędzą i ohydą ludzką. Są już niejednokrotnie nie tylko statystami w wielkim ulicznym dramacie, w ponurym misterjum miejskiego życia, ale często same występują aktywnie, choć nieodpowiedzialnie i dlatego bez winy.

Wszystko, co jest w życiu ulicy szpetnego i niemoralnego, co właśnie najjaskrawiej i najplastyczniej potrafi się wysunąć na pierwszy plan ulicy, wchłania wrażliwy umysł dziecka i wtedy, doprawdy, nie mogą znaleźć wiary nauki wychowawców szkolnych, ani admonicje rodziców czy opiekunów. Dziecko zna już bowiem istotne oblicze „prawdziwego życia“ dorosłych i posadza swoich wychowawców o obludę, albo nawet lekceważy ich sobie, jako śmiesznych i naiwnych bajczarzy.

Trudno oczywiście wymagać, aby dziecko przeżywało w domu, aby je więziono w przeludnionych izbach.

Dziecku, które kilka godzin dziennie przeby-

wa w sali szkolnej, trzeba ruchu i świeżego powietrza. Któżby myślał inaczej? I ktoby się temu sprzeciwiał?

Więc też ktokolwiek, dziecku takiemu bliski i życzliwy, albo ktokolwiek domowymi psotami dziecka zmęczony i zirytowany mówi zwyczajnie: „Pobiegaj trochę po ulicy!“ — albo mniej uprzejmie: „Wynoś się na ulicę, bo już trudno z tobą wytrzymać!“.

Jak ten ruch i to powietrze ulicy, wpłynąć może na zdrowie i rozwój fizyczny dziecka — wiemy również dobrze. Nasze bruki nie są jeszcze pyłochłonne, a przechodzień w Warszawie, w Łodzi, czy gdziekolwiek indziej, nie oduczył się jeszcze plucia. Wszystkie możliwe zarazki unoszą się więc w tem „świeżem“ powietrzu ulicy, a dziecko jest doskonale podatnym odbiorcą gruźlicy i wszelakich epidemij. Zresztą dzieci te, choć pół dnia przebywają „na powietrzu“, nie nabierają rumieńców, nie opalają się: są szare i nędzne, są żywym wyrzutem naszego społecznego sumienia.

Niejednokrotnie słyszeliśmy o zamiarach gospodarzy i włodarzy miasta stołecznego Warszawy, że trzeba, że należy, że nawet już rozpoczęto przystrajac naszą stolicę i jej peryferje zieleńcami. Cieszymy się oczywiście wszyscy, że tak dbają o estetykę miasta, że tyle już w nas „zachodniości“. Jednakże, mimo te chwalebne ambicje, należałoby raczej pomyśleć nieco o ambicjach więcej utylitarnych.

Więc zanim jeszcze powstaną owe kwietniki, trawniki, aleje, laski, bulwary i inne „reprezentacyjne szosy“, należałoby pomyśleć o placach zabawowych dla dzieci. Są wprawdzie jakieś ogrody Raua, ale jest ich tak mało, że prawie się o nich nie wie. Nie trzeba się wcale wysilać na jakieś wymuskane, wyklombowane parki, w których co krok groziłyby napisy surową karą za deptanie trawników. Przeciwnie, niech dzieciom wolno będzie deptać trawniki, rozkopywać piasek, urządzać gonitwy po ścieżkach i bawić się, jak chcą.

Trzeba takich ogrodów zabawowych i placów dużo, jaknajwięcej, a choć tak niby ciasno w Warszawie, czy innych miastach polskich, wszędzie jednak jest niemało gruntów miejskich, porastających chwastami, a jednak niedostępnych nikomu. O te właśnie grunta dopominam się dla — dzieci.

Urządzenie takich placów zabawowych nie wymaga zresztą wielkich kosztów, bo dzieciom nie potrzeba ani sztucznych grot, ani wodotrysków, ani rabat i szpalerów. Nie chcemy „Zofjówek“ dla poetyckich wzdychań, a tylko trochę mizernej zieleni, trochę bezpiecznej swobody dla dzieci. Dajmy niepohamowanemu temperamentowi dzieci trochę przestrzeni i zostawmy ich sobie. A zato niech się utrzyma w mieście, na jego ulicach i placach surowy nakaz,

zabraniający dzieciom zabaw na chodnikach i jezdniach. Obraz naszej ulicy zyska na tem odrazu, stanie się bardziej europejski. Może i domom, skrobanympatykami i szybom, rozbijanym kamykami, wyjdzie to na dobre. Doprawdy, te place dla dzieci pomagają

estetyce miasta skuteczniej nawet, niż zieleńce i bulwary nad Wisłą, a dla dzieci będą one istotną łaską.

Nie wątpię, że sprawa, poruszona tu prosto, zrozumiale, bez frazesu i patosu, znajdzie szczere poparcie i, co ważniejsze, szybką realizację.

Herminja Naglerowa.



ODWROTNA STRONA MEDALU

Coraz częściej pisma poruszają kwestję emigracji sezonowej. Podają dane statystyczne, skrzętnie zebrane po sezonowych „biurach paszportowych”, opisują, załamując ręce, straszny sposób traktowania przez Niemców „bydła roboczego”, roztkliwiają się nad nędzą dziewczyny - matki.

„A przecież nie można skazać tych młodych dziewcząt na nędzę w kraju, bo już ciż nie „dla wrażeń” emigruje się na roboty sezonowe” — pisze „Goniec Nadwiślański” z 2 lutego r. bież. To znaczy, że każda dziewczyna, mająca jaką taką opiekę, wypuszczona być powinna. I wyszukuje się rozmaite środki opieki nad dziewczyną polską zagranicą: specjalne opiekunki, kompetentne sanitariuszki, misje portowe i t. d. i t. d.

Myślę, że te środki celu nie dopną, że najradkalniejszy środek zapobieżenia złemu powinien być zastosowany tu, w domu, na ziemi rodzinnej. Zaraz wytłumaczę się jaśniej.

Od lat kilku mam okazję obserwowania tego właśnie ruchu emigracyjnego w jednym z małych nadgranicznych miast, przez które dwa razy do roku przepływa ogromna fala robotników sezonowych. I powiem, że nie tyle przerażają mnie warunki życia i pracy, jakie czekają na nich tam, w Niemczech czy Francji, ile przeraża i zastanawia strona psychologiczna kwestji emigracyjnej, stwarzająca niezwykle podatny grunt dla handlu żywym towarem.

Uśmiechnęłam się mimowoli, czytając w „Gońcu Nadwiślańskim”, że nie „dla wrażeń” emigruje się na roboty. Zapewne, szczególnie można to powiedzieć o pewnej części robotników, lecz trzeba *samemu* zobaczyć te tłumy dziewcząt i chłopaków, dążących do rejestracji, jak na odpust, odświeżenie ubranych, rozbawionych, wesołych, godzinami i dniami wyczekujących przed biurem. Od tej to chwili zaczyna się długo oczekiwana zabawa. Przy pierwszym spojrzeniu na te tłumy, zalegające plac przed budynkiem PUPP'a, uderza ogromna ilość dziewcząt, dochodząca

do 50 — 60 proc. ogólnej liczby robotników. Dziewcząt w samym rozkwicie, od lat 16 — 25. A jakich badań potrzeba, aby ustanowić, czy ta lub owa dziewczyna należy rzeczywiście do sfery „bezrolnej”, co nie dowodzi zresztą, że nie znalazła pracy w kraju. Ilu podstępów, intryg, zachodów dopuszcza się kilkunastomorgowy gospodarz, by córkę swą przepchnąć zagranicę, bo ona musi zarobić sobie na jasne pantofle (dawniej — lakierki), cieliste pończochy, śniegowce i kombinację z koronką. Niema w tem słowa przesady. Jak często słyszy się narzekania, że prawdziwi bezrolni zostają, a tym, co tu mają być zabezpieczeni, udaje się wyjechać na roboty.

W styczniu i lutym rozpoczyna się ruch emigracyjny po wsiach: w każdej chałupie toczą się spory zaciekle, która z dziewcząt ma jechać. Następnie, jak prąd elektryczny, ruch ten przerzuca się na miasta i miasteczka. Działanie jego najpierw odczuwają gospodynie, panie domu, po zmianie humoru swych pomocnic „do wszystkiego”. Zaczynają się pierwsze pogroźki rzucenia miejsca „dla Prus”. Dziewczyna lat 18-tu, nie umiejąca nic i otrzymująca za to 25 — 30 zł. miesięcznie wraz z całym utrzymaniem, rzuca spokojne i stałe miejsce, na którym pozostawać może przez dobrych parę lat, aby pędzić na kilka miesięcy ciężkiej harówki pod batem niemieckim. I nie jej nie powstrzyma, chyba brak zezwolenia ze strony władz.

Ten pęd „nach Westen” działa na dziewczęta, jak epidemia, pociąga wolnością, upaja absolutną swobodą postępowania, zabawami niedzielnymi, których granic nie pilnuje oko ojca lub matki. Rzuca się najlepsze miejsce w dworze, w mieście, gdziekolwiek, aby pędzić „do Prus”; sprzedaje się ostatnią szmatkę, ciężko „wypoconą” w tych samych Prusach poprzednio, aby tylko opłacić stręczyciela — pośrednika, dobierającego sobie najlepszy komplet z całą wprawą długoletniego pracownika tego rodzaju przemysłu.

Cóż można powiedzieć o samej pracy, jak kobiecej, tak i męskiej, tam, w Niemczech? Chyba jedno, co wyniosłam ze wszystkich opowiadań: gdyby u nas stawano do pracy tak punktualnie, gdyby pracowano tak ciężko, tak, powiem, bezwzględnie, — to nietylko dobrobyt oddzielnych jednostek, ale całego kraju wzrósłby o 200 proc. Robotnicy, którzy wracają po kilku latach pobytu w Niemczech, wyglądają o 15 lat starzej ponad wiek właściwy, ręce mają w najokropniejszy sposób pokaleczone, palce powyrzywane, żyły pościągane, cały organizm wyniszczony.

Córka gospodarska, nierzadko bita przez Niemca - włodarza, tu, w kraju, do służby nie pójdzie „bo jej wstyd“, a głównie dlatego, że „pani“ pilnuje jej postępowania, wtedy kiedy tam po skończonej robocie ona sama jest panią siebie. I nie odpowiada rzeczywistości wersja o umieszczaniu na folwarkach niemieckich kobiet i mężczyzn w jednych izbach. To się nawet sprzeciwia moralnej pruderji niemieckiej. Nie ma zresztą potrzeby, sądząc z opowiadań kobiet - robotnic, gdyż mężczyźni — Niemcy i Polacy — najspokojniej odwiedzają kobiety w oddzielnych izbach.

Co roku w listopadzie po kopaniu kartofli następuje czyszczenie Niemiec z napływowego elementu: fala za falą odpływa z Prus. Wszyscy bez wyjątku zostają brutalnie wyrzucani, aby na pierwsze żądanie, porzuciwszy dom, rodzinę, pracę — pędzić do Prus.

A teraz jeszcze jedna strona, może najboleśniej-sza. Po paru takich sezonowych wyjazdach wraca młodzież wiejska kompletnie zdeprawowana pod względem narodowym i patriotycznym. Przedewszystkiem „Prusy“ imponują naszym emigrantom na każdym kroku, w każdym drobiazgu, co powoli rodzi pogardę do wszystkiego, co polskie. Robotnik sezonowy to nie ślżak, od pokoleń broniący swej polskości: to jednostka, gorliwie, a bezkrytycznie pochłaniająca „kulturę germańską“, kulturę siły i pięści. Przeraźliwie kalecząc mowę polską zdobytą terminologją rolniczą, całym nadgranicznym połaciom kraju narzucają ten balast germanizmów. Nie jest to gwara ziemi poznańskiej lub pomorskiej, od wieku będącej pod wpływem niemieckim; nie są to przez pokolenia utarte zwroty i wyrazy, w końcu spolszczone, nie—tu używa się tych „ozdób“ językowych przez kult dla chlebobdawców sezonowych. Oto autentyczny kwiatek tego „stylu“: „... wysłałem bryf, absyndera napisałem, ale żadnej antworty nie dostałem“...

Poczucie przynależności narodowej rozplywa się w pragnieniu użycia i szybkiego dorobienia się kilkuset złotych, co przy wysokim kursie marki niemieckiej nie jest trudne, chociaż bardzo częste są wypadki, że młodzież, szczególnie męska, sprzedaje kupiony w Niemczech rower albo zegarek, by mieć pieniądze na drogę powrotną.

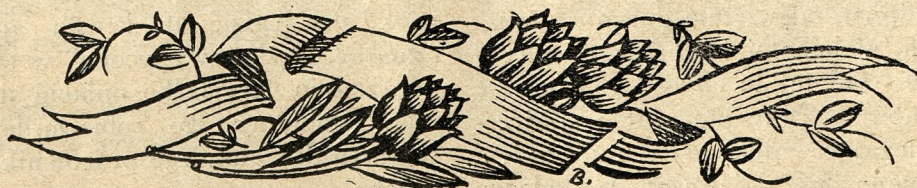
Tak wygląda rzeczywistość, zbliżona widziana. I żadne opiekunki, ani sanitariuszki w Niemczech, nie zapobiegają złemu, nie zdołają powstrzymać dziewcząt naszych od zabaw, tak często kończących się smutnie, gdyż te zabawy, to krótkotrwałe, ale „dokumentne“ użycie jest właśnie celem większości. Najlepszym tego dowodem, że wiele dziewcząt za każdym powrotem z Prus nielegalnie powiększa rodzinę. I mówić tu o zachowaniu czystości rasy...

A więc nie tam zaradzi się złemu, a tu, w domu, trzeba prowadzić planową kampanję przeciwigracyjną. Niech jeżdżą mężczyźni, kobiety starsze, córki przy matkach lub ojcach, a sześć — ośm dziewcząt przy jednej „ciotce“. Trzeba po wsiach prowadzić pracę oświatową, na której czele stanąć winno duchowieństwo i szkoła; trzeba uświadamiać młodzież żeńską, budząc i rozwijając w niej ambicję narodową, trzeba wobec niej oświecać nawet te kwestje polityczne i rasowe, które dzielą Polskę od jej zachodniego sąsiada przepaścią nieprzebytą.

Trzeba nauczyć ludność polską patrzeć na emigrację, jak na ciężką, lecz przejściową ostateczność, gdyż przyjść musi czas, kiedy Polska sama wyżywi swą ludność, a wtedy Niemcy sprowadzać mogą „bydło robocze“ z Afryki Środkowej lub z Chin.

Praca oświatowa, prowadzona w tym kierunku, będzie mozolną, nie dającą narazie widocznych rezultatów, lecz skuteczną. Na wzór istniejących po wsiach organizacyj młodzieży męskiej, zawiązywać organizacje młodzieży żeńskiej, i wciąż i na każdym kroku wbijać jedno i to samo w głowy dziewczęce: która nawiąże bliskie stosunki z Niemcem — hańbą się, jako wyrodna Polka, okryje; która przywiezie dziecko nieślubne — wyzbędzie się godności kobiecej. A wiemy, że to, co się wytrwale wbija w głowy naszego ludu wiejskiego, utrwała się w nich wkońcu i działać poczyna.

Czas najwyższy, by zastanowić się nad tem, by pomyśleć o środkach ratunku, gdyż emigracja niezwykle rozluźnia obyczaje i grozi stopniowym zaniemieniem poczucia moralności u naszego ludu. L. Ch.



KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

STRZĘPY I WŁÓKNA

POCIECHA

Gdy przyjdzie — w wieczór — z tą skrwawioną głową,
do piersi, nie patrząc, tul go,
i mniejsza o to, jakie będą słowa,
byleby niosły ulgę.

Gdy słowa jak szkiełka rozsypią się puste,
pozostań litośnie, niezłomnie...
I mniejsza o to — czyje będą usta,
byle o tamtych zapomniał.

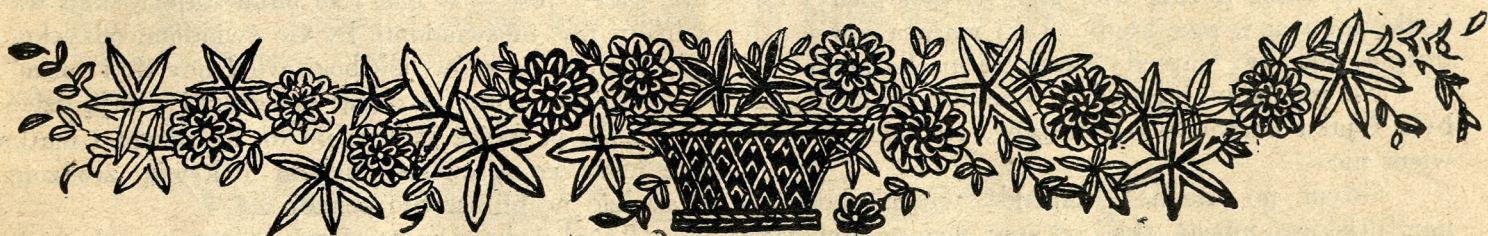
A kiedy wozna swą nędzę zarwiła
i zadrży u nóg trzymych od płaczu
— ach, mniejsza o to, czy to będzie miłość,
byleby się znów czuł bogaczem!

UPIÓR

Śmierć wypita, gdy miłość wzięła mnie za gardło:
Widziałam, żalobnicy wynieśli umarłą.
Strzeżcie się tej, co rolę żyjącej odgrywa,
nigdy nie miała takich ust gorących żywa!

S E N

Śnię, że umarłam i okiem jestem, zawsze w twoją duszę wpatrzonem,
nie dbam, czy nas co łączy i nie wiem — kto nas rozdziela,
przenikam całą przestrzeń śpiwem — jak wiołonczela...
I wreszcie jestem — tobą!.. I wreszcie jestem zbawiona...



ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

4)

„SOL INVICTUS COMES“

Z cyklu „Hestia“

Marcella. — Przeszedłem stopnie wszystkie wtajemniczenia, stopnie wszystkie umartwień lutyh, by ojcem stać się w świątyni Mitry: by ciała swego zasłone ciężką zwlec, duchem obłóczyć, uskrzydlić, a Wolnym się stać — jako bóg, narodzony z Boga — przed Obliczem Słonecznym.... Czterdzieści dni jadła nie tknąłem, siedem dni i nocy oddałem się był niespaniu... Potęgą poczułem się. W świątyni Serapisa oczyma, przemienionemi już w światłość, patrzyłem, jako pocałowanie oddaje Wschód ustom czarnym Śmierci. Mniemałem: otom przeniknął tajemnice Żywota wiecznego. — Marcella.

Nie jesteś ty Wschodem, który całować przyszedł usta moje, czarne goryczą pustki? Bo gdyś szła tak do mnie... zawirował mi w oczach świat cały wiosny mojej — jesieni poznanie przeszło mnie Słonecznym orężem. Niepokonalnym: sam czekałem w pustce wiek — aż przyszła korona spełnień.

Na dalekim ustroniu, w pustynnym lesie palmowym budowałem cię sam długie lata, jako posąg i jako żywą prawdę i nie wiedziałem, że przyjdiesz. Nie wiedziałem, że jesteś moja.

Dlatego nie mówiłem ci nic nigdy, Marcello, co ludzie mówić sobie zwykli z miłości. — Nie potrafiłem, czy nie chciałem nazwać przed sobą okrutnej, przesłodkiej tajemnicy Żywota i Śmierci, z którą przyszłaś tak, do mnie, bardzo nieświadoma, cicha, lekka, — z motyli trzepotem rzęs, motyli trzepotem rącek tych — cudownych jakichś — na promieniu słonecznym.

Potem przyszedł także twój synek najstarszy z piastunką i robiłaś dla niego kukielkę ze szmatki. Z egipskiego prostego płótna. Dziecię porzuciło u mnie szmatkę. — Ty zaś wzięłaś odemnie obietnicę, że męża twego cieszyć wnet przyjdę w chorobie, która już wtedy nękać go poczyną, dech odejmując i barwę.

Dziecię porzuciło szmatkę. A ja podniosłem ją kryjomo dłonią chciwą, i jakgdybym skarb podnosił zgubiony, zaprzepaszczony od wieków. — Bo gdyś tak w dłoni swej ważył kukielkę — łatkę, z pięcią węzłków na miejsce głowy i kończyn... przypomniałem sobie... Bóg to sam wie! jako mi ktoś kiedyś kukielkę takową w ręce kładł... Taki mająca w rzęsach trzepot, jak i ty: Marcella zwała się matka moja. —

Nie pamiętam jej lic. Nie wiem też, czyliś piękna była i jaka barwa twych włosów, albo ocz. — Nie wiem nic. —

Gdyś, po latach, z Aspendy wracał dalekiej, pamfilijskiego miasta, skąd od syna tego najstarszego

twego pozdrowienie ci wiozłem, i gdyś obaczył cię, po latach... dwunastu... rozumiałem tylko, że ty — jesteś ty: że trzeba cię wziąć w ręce, motyla owarzonego mrozem, i położyć na kielichu kwiatu, którym jest Prawda Słoneczna. Że zabrać cię trzeba tym, którzy cię dręczą: o dziedzictwo mężowe, o rolę, o sprzęty, klejnoty, o szpilkę każdą i ziemi piędź rozcietrzewieni, świergotliwi, natarczywi, obleśni. —

Anim patrzył, czyli twe lice przybladło i zwiędło cierpieniem — w migocie szklanym ocz, warg spękaniu bolesnem: widziałem tylko rzęs trzepot jaśkółczy i rączki te, cudowne zawsze, bo twoje, że wyciągnęły się do mnie — „Ojcze! mistrzu...” Pisała twoja krew na moich wargach prawa śmierci i żywota moje nad tobą — i twoje nademną.

Pytam teraz, czyli mogło być to wszystko inaczej, aniżeli Bóg dał. Musiałem cię poślubić, boś Moja. Rzucić cię wraz musiałem w południe najbardziej złote, inaczej spadlibyśmy poniżej miary własnej. Fata obstant. — Wypiłem k'woli tobie kruz hańby od świata: arcywzór cnót niewieściem dał się mdłym siłom; chciwości dał się dóbr ziemskich, kto wie. —

Świat wie! Od nas samych lepiej wie wszystko. — Niech będzie. — Nie świat wszelako przeszkodą — Konieczność. Żąda Prawo Boże, by zdruzgotanem było, co najmilsze ze złud, a na wieczność, co prawdziwe, rozbliżyło.

Zostawiłem cię przeto w spokoju od tych, którzy truli ci doczesność troskami dokoła wiała; trwaj bez frasunków o jutrze, którym oddawają się dusze, zgrubiałe ciemnością. Bacz, że zbawienie najbliższe temu, który lotność zachowuje substancji onej, co wehikuł stanowi ducha, z gwiazdami wspólnotę naszą, za jej to sprawą we śnie między gwiazdy eterowe się wzbija duch: wieszże sama, ilekroć dajemy się goryczom dnia doczesnego, sny nasze blakną, czezają, stają się chaotyczne, rozpierzchłe, szare, jałowe, nędzne. — Snami zaś do nas mówi Bóg o tem, czego duch, w ciału wtłoczony śmiertelne, nie pojmie na jawie. — Czuwaj więc, gdy śpi ciało twoje. Czuwaj w światłości, Jedyna. — Nie tobie k'woli umiłowalem cię, lecz Temu, który Jest — w nas, i za nami Rajem, skąd wyszliśmy my, nieświadomi, by Go świadomi odzyskać, gdy staniam się znów, jak bogi, wiedzący zło i dobro“.

Różane ognie się zorzą; skowronki witają dzień.

„...A ja wrócę jeszcze po to, by ojcem i matką być temu, co z ciebie duchem i krwią zrodzone, Prawdzie najbliższe Słonecznej.

Różni się bowiem na ziemi: którzy prawdy ziem-

skiej bliscy jeszcze, zakon jeno pelnia ksiąg zydowskich Rodzaju, mnożąc się i napelniając ziemię. — A te zaś księgi na szkodę własną chrześcijanie między święte swoje policzyli, w sprzeczność stąd z Księgami własnymi dobrymi z dobrej wikłając się woli, bo zakon ich nie z ziemi jest, aniołom podobne chwalcą życie. —

Którzy zaś żywot aniołowy pojmują i chwalą, ci już w stronę Prawdy Słonecznej patrzą.

Anioły zaś któż są? toć bogi nasze prawdziwe, zapoznane, grubością wierzeń znieważone pospolitych. — Niepokonanego wysłańcy to Władyki. — Wolni od więzów czasu i przestrzeni, od ciała i krwi, kości jego wolni wszelakiej, przestrzeni powietrznej i mórz przepaści, czeluści ziemskie, pola, toń, pustynie i lasy harmonją i pięknem swem zaludniają, żywe pierwiastki bytu i prawa jego wieczne. —

A jak on Mocarz, Boga Syn Niewysłowionego, i Stwórca wszystkiego, co początek ma i kres, odbicie ma swoje w słońcu ziemskim, które zmysłom naszym dostępne, tak i bogowie ci wieczni schodzą do nas światłem gwiazd i szumem fali, wonią kwiatów, czy tchem wilgotnym, co chłodem rzeźwi ciało, nierozumne jeszcze, ślepe i głuche pośrodku barw tych złudnych, szeptów, aromatów, które za prawdę przyjmujemy, gdy znaki to widziane ukrytej Rzeczywistości. —

A ja wrócę tu jeszcze po to, abym powiedział to wszystko — i więcej jeszcze — temu, który z twojego ducha i krwi będąc, Prawom już jeno Słonecznym podległy. Chowaj mi go!

Wrócę. Bądź zdrowa! —

Kula słoneczna ogromna wyskoczyła nad fale zbóż, zrumieniona, rzeźwa, przejasna.

„Komu w drogę, temu czas, Largu“ — wstanie Serapjon; Firmin z nim.

Ramieniem otoczy brata Firmin, zaszepta w uścisku: „Wrócę!“

Odchodzą. — Odeszli!!! — Drogą polną oddalają się równym krokiem, niespiesznym, postaci dwie rosłe, wyraziste. —

Oddalają się. — Przebóg!... A toć na drogę nie dał im nic, ani bułaczyny, ani podplomyka jednego!... —

Wołać za nimi! — Biec!...

Czar pęta nogi. Czar w głowie szumi, bezsensownością nieswojej.

Aha! wróci! wszak powiedział, że wróci... Po kogóżby tu wracał. — Po kogóżby!!!

Jezu Chryste... Czego mi ten nie nawyplatał w tę jedną krótką noc! Jeszcze noc jedna taka, a zwarzowaćby z kretesem.

W imię Ojca i Syna... Ręka na koniec posłuszna.

Jezu Chryste, któryś stał się człowiekiem dla naszego zbawienia... bogami ten uczył, że stać się mamy!!!... szatański to ponoć apostoł... a przecie aniołowy żywot zachwalał... do Raju wracać kazał... A dyć idziem, idziem do Raju, mnożąc się i napelniając ziemię — czegoż ten chce!!! A któżby szedł, gdyby nie było iść komu... Jakżebyś zaś wracać miał, kiedym tam nigdy nie był!!! Przed siebie idą z łaski Boga Stworzyciela, jedynego we trzech Osobach... Uf! la la!...

Zamierzy się, a ze stołu narcyz przywiedły rzuci, nie myśląc o nim, jeno o tem... co słyszeli, ponoć oba... Uszy więc miałby kwiat... ki-lich!!! Largu, Largu, warjujesz!

...I czego ten stary obieżyświat zadręczył swoją biedną żydówkę!!! Wstydził się, że mu jakowaś korona z głowy spadła, gdy mu się baby zachciało, późno cośkolwiek — no! bywa gorzej! Ale już skoro wziął, śmietankę wypił, różne są gusta. Byłóż i mleko pić, do kaduka!

Wszystko ci we łbie spłaczą!

...A wtem uchyla się drzwi domu; błękitna w nich stanie pani, zmartwiona na twarzy, do ocz rękę przyłoży:

„Odeszli“ — zadziwi się; ramionami ruszy...

Dwie odchodzą w dal złotą postaci, między zboża, zboża falujące, liljowe jeszcze ku światu krańcom.

„At, nie będzie komu ambajów pleść. Całą noc Magdalena moja malignę dziś cierpiała, o łnach jakowychś Serapjona bredząc, różowych i złotych“.

Rozchyła się drzwi szerzej, buchnie blask od ogniska — trzask drzewa lupanego i saganów dzwon miesza się z głosów płataniną ludzkich i zwierzęcych, od wewnątrz i od zewnątrz domostwa. —

„Matko“... wychynie się w tem głowa jasnoekdziorna Chryzogonka. „Nie wiesz, gdzie mistrz Serapjon?“

„Niema. Poszli sobie ze strykiem w świat“.

Rozszerzą się oczy błękitem, podkrażą bólem nagłym, doznaniem krzywdy gorzkiej i zawodu nad siły:

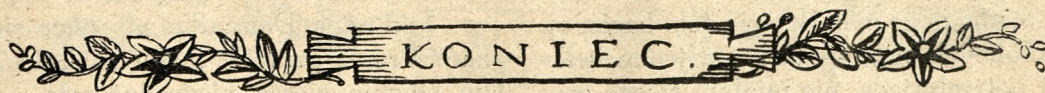
„Poszli... A mnie nie wzięli...“

„Po ciebie, po ciebie wróci stryjo! Powiedział mi sam!!!“ Zrozumie wtem niemylnie Larg — a młot chwyciwszy, bez słowa się rzuci — walić, dudnić, dzwonić... Dla pana biskupa toć piękny kociel polowy niedzielą wprzód łowczy zamówił, zadatek hojny dał. Żywo!!! dudnić, walić, dzwonić... przygłuszyć, zakrzyczeć, załomotać...

...Co?!

Po niebie sunie zwycięsko Niepokonalnego Władyki majak, odbicie złudne...

Po niebie bez skazy, jak ócz i szat błękit pani twojego ogniska. Largu, co kądziel swą przedzie w słońcu. —



SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

— Teraz pani ma córeczkę. To, mi się zdaje, jest wielka rzecz. Szczególnie... jeśli przychodzą chwile cięższe.

Co wiedziała? Postanowiłam zbadać odrazu.

— Panno Dominiko, z czyich pieniędzy są płacone rachunki? Muszę wiedzieć. Przecież trzeba jakoś uregulować te rzeczy!

Spojrzała mi prosto w twarz.

— Z pani pieniędzy! Ma pani dwadzieścia tysięcy na rachunku bieżącym w banku. Książeczkę pani złożę, kiedy... będzie pani mogła sama je brać.

Zaczerwieniłam się z niespodzianki.

— Moje? Ale skąd? Od kogo? Czy...

Znowu chciałam powiedzieć: Czy mój mąż?... ale Dominika ruchem przerwała zawczasu. Mam wrażenie, że chciała mi oszczędzić upokorzenia.

— Od pani hrabiny. Wzięłam zaraz po pani przewiezieniu do szpitala. Złożyłam w banku.

— Od Lory!.. — Wszystka krew uderzyła mi do głowy, a potem zbiegła do serca. Nienawidziłam jej prawie narówni z mężem. Przez nią... stało się wszystko, z mojem małżeństwem włącznie!

Usiadłam na łóżku i powiedziałam twardo:

— Na jakiej zasadzie pani hrabina uważa za stosowne wydzielać mi dwadzieścia tysięcy? Jeżeli ze... spadku, to... za mało! A jeżeli w prezencie: to nie zechcę wziąć!

Jak — nie zechcę?... nie zdawałam sobie sprawy. Ale — wzburzyłam się cała na samą myśl. Panna Dominika położyła suchą dłoń na mojej ręce.

— Niech się panna Hania nie denerwuje! Chciałam powiedzieć, pani. Hrabina z dobrej woli nie da nic, chyba... żeby upokorzyć! Taby pani nie wzięła, sama wiem. Ale te pieniądze, to pani baronowa mówiła pani Lorze, że ma wysłać za nie tam, do Czech, wyprawkę dziecinną od niej, w prezencie dla dziecka, no, miała być przecie chrzestną! Sama kilka razy słyszałam. Jakoś, zapominała. Teraz, kiedy sam czas, że dziecko, a i pani, czegoś potrzebują, o tem pani hrabinie pozwoliłam sobie przypomnieć. W takim światowym trybie, co dziwnego: roztargniona! A nie mówiąc o pani, uważałam, że pocóż pani kuzynka, dostając tyle pieniędzy z łaski nieboszczki pani baronowej, nie ma uszanować jej woli, choćby i na te marne dwadzieścia tysięcy?... Tak te rzeczy sobie rozważyłam, i powiedziałam, co wiedziałam, pani hrabinie. Przecież trzeba żyć?

Czy odnosiło się to do mnie? Zapewne! Dominika z łaski ciotki miała za co żyć. Lora — tem bardziej. Cały legion osób obcych, miał — tylko ja jedna, właściwie najbardziej potrzebująca, nie miałam swego gro-

sza. I nie wiem, zacybym żyła z dzieckiem, gdybym z dziwnej i niezrozumiałej narazie troski dawnej panny służącej nie dostała za jej wstawiennictwem tych kilkunastu tysięcy z miljonowej fortuny mojej opiekunki! Łzy mi napłynęły do oczu — łzy upokorzenia, więcej niż wdzięczności. O jak ciężko pokutowałam za blichtr, który mnie wywabił z gniazda dziadków!

Dominika doskonale się orjentowała w moich uczuciach. Siedziała w milczeniu, ważąc słowa.

— Pani to nie powinno dotyczyć! Bronić, to nie obroni pani nikt. Spadek możnaby procesować, ale trudna sprawa — pani jest obca poddana z ojca, małżeństwo było nieuznane, matka wydziedziczona... Gdyby nie, sądzę, że mąż pani zainteresowałby się tem więcej. — Dominika spojrzała w sufit. — Wiem, że konferował z adwokatem. Widać, nie wychodzi, skoro zaniechał. A może uważa, że po zgodzie lepiej się porozumieć z panią hrabiną? Sądzę, że dlatego razem są zagranicą...

Plakałam bez słowa, usiłując nie obudzić maleńkiej. Panna Dominika zaczęła chwilę i podniosła się.

— A jeżeli o to idzie... Nie śmiem narzucać, ale mam niezłe mieszkanko, trzy pokoje... Do czasu, zanim panna Hania zdecyduje, jak i co ma być dalej... chciałam powiedzieć: pani... to możeby do mnie? Dojrzyć dziecka, usłużyć... Zanim co? Ze szpitala za jakiś tydzień, dwa, trzeba będzie wyjść. W drogę jechać za daleko. Może panna Hania pomyśli tak i tak?..

Malutka poruszyła się i zapłakała. Trzeba było ją nakarmić. Dominika stała nieporuszona, obserwując, jak załatwiam koło maleństwa szereg czynności, które należały do pielęgniarki, ale które chciwie wykonywałam sama. Malutka, obrócona do piersi, wodziła okrągłym oczkiem, skierowanem, jak u zajączka, nazewnątrz, po czarnej sylwetce duenny. Nagle odsapnęła, odrzuciła się i z radosnem kwileniem rozrzuciła rączki. Ucałowałam malutkie piąsteczki, oporządziłam się i podniosłam oczy na moją opiekunkę. Patrzyła surowo, ze ściągniętymi brwiami.

Nagle pochyliła się i palcem suchej ręki ostrożnie dotknęła rozchylonej, jak kwiatek, piąstki. Poczem szybko się wyprostowała i spojrzała gdzieś za okno.

— Panna Hania teraz wiele powinna umieć znieść — powiedziała krótko. — Bóg ma swoje wyroki, ale i swoje łaski! Przyjdę tu jeszcze w tygodniu.

Usiadłam i wyciągnęłam za nią rękę.

— Panna Dominika nie chce się ze mną pożegnać? Proszę przecież podać mi rękę... na zgodę! Byłam pewnie nieraz nieznośna, ale... nie byłam zła,

prawda? Teraz panna Dominika zrobiła dla mnie rzecz, której, nie wiem, czy i po kimś dużo bliższym mogłabym się spodziewać. I z tem mieszkaniem... Prawda: Muszę teraz dużo umieć znieść! Więc jeszcze nie wiem, jak będzie, ale — Bóg zapłać! Za mnie i za Hanuskę. Proszę mi podać rękę!

Duenna wahała się chwilę, jakby ważąc rzeczy. Na policzki z pergaminu wystąpiły ceglaste plamki. Wreszcie wyciągnęła suchą dłoń i sztywno, niezręcznie, ujęła moją.

— Jeśli panna Hania tak koniecznie uważa... Ja dobrze pamiętam, kim jestem, i nie chcę nikomu być równa! Ale jeśli już tak stanęło... Nazywam się... pani Woźnicka!

I jakgdyby ta nowa prezentacja wyrównywała dawne różnice społeczne, była panna służąca przestała istnieć w tej chwili w naszym wzajemnym stosunku, aż do końca jej dni.

* * *

Jednakże po namyśle rozważyłam sobie inaczej. Macierzyństwo zaczęło budzić we mnie nowy pierwiastek, widocznie wyloniony z konieczności: bunt.

Listy dla mnie istotnie były. Wprawdzie Dominika oddała mi je dopiero, kiedy doszłam do zdrowia. Niemniej, wystarczyłoby ich treści na powtórny chorobę, gdybym nie miała odpornika w postaci mojej małej córeczki. Hanuskę zostawić samą, bez opieki, pozwolić sobie na zbytek gorączki czy nieprzytomności! To moje małenstwo, ta moja najśłodsza kruszynka sama! Nie, nigdy! Stanęła pomiędzy mną, a wrażeniami zewnątrz, jak pas ochronny. Nie, nigdy! Przez nią byłam jakby obojętna — do pewnej w każdym razie miary — na wszystko, co nie było nią.

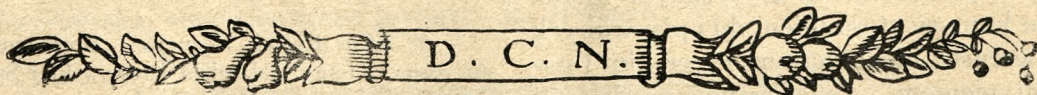
Poznałam pismo Lory. List miejscowy; widocznie pisany przed wyjazdem. Drugi był od męża ze stemplem Monte Carlo. Był jeszcze jakiś trzeci, nieznanany. Cóż miała mi jeszcze do powiedzenia moja piękna kuzynka?

Wolę jednak nie robić komentarzy; tak, jak i wtedy, nie wywołały we mnie właściwie odruchów uczuciowych: przyjęłam je niejako do wiadomości. Szok nerwowy, jaki przeszłam przed chorobą, sama choroba i urodzenie się Hanuski — wszystko to wypełniło ze mnie niejako koloryt życia. Stałam się obojętna, przynajmniej na jakiś czas. Cokolwiek było poza Hanuską — istniało mało. Tylko jej maluchne rączyny i cienki, jak u ptaszka, głosik trzymały mnie przy życiu. Reszta — odeszła, jak mgła.

— Moja kochana! — zaczynał się list Lory. — Słyszałam, że mąż cię rzucił i że jesteś bez środków.

Że on ci ich nie dostarczy, można zgadnąć choćby dlatego, że poza wieloma długami, ma tylko fenomenalny kapitał blichtru, jakim świetnie sobie kupował złoto. Ostatnio (myślę o małżeństwie z tobą) zawiódł się, ale co robić? Czasami trzeba miewać jakieś rozczarowania. Sądzę, że to zdoła naprawić: w każdym razie w Monte Carlo widują go ludzie stale przy rulecie, albo przy kokocie (te rzeczy się łączą). Panna służąca ciotki zawiadomiła mnie o twojem położeniu i z miłą chęcią posyłam ci przez nią książeczkę bankową na dwadzieścia tysięcy. Ponieważ sądzą, że teraz wróciłaś mniej więcej do twego normalnego stanowiska, t. j. tak nie masz nic, jakże nie miała przed tym całym pomysłem, godnym ciotki, z twojem sprowadzeniem z leśniczówki: więc sądzą, że z tego punktu widzenia powinno to być bardziej, niż wystarczające, ile, że u dziadków nie miałabyś ani szeląga. Wprawdzie przesłaś zapewne przykre chwile w twoich miodowych — powiedzmy — miesiącach. No i ten przyjazd tutaj (biedaczka! Jak to wszystko na tobie wyglądało! I od jesieni już nikt nie nosił przecież tych fasonów!) Baron nigdy nie wyglądał mi na czułościową troskliwość. Pieniądze, jak służąca słusznie przypominała, były projektowane przez ciotkę na wyprawkę dla twego dziecka, ale o drobnych wydatkach nigdy nie mam głowy myśleć. Oczywiście, nie pozostaje ci nic innego, jak wrócić na leśniczówkę, jeżeli jeszcze tam kto żyje z tej biblijnej pary starców. Odpowiednio zaadministrowane (oczywiście, nie przez ciebie), te pieniądze zupełnie powinny ci zabezpieczyć życie i nawet wychowanie dziewczynki, jeżeli naturalnie domyślisz się ją wychować odpowiednio do jej warunków; nie lansując na zaklętą księżniczkę. Baron, nie przypuszczam, żeby wrócił do Polski; będzie zapewne wyławiał teraz jaką zagraniczną heritierę, mniej poetyczną, niż nimfy leśne, ale z gotówką (bo testamenty zawiodą). A jaki rządca pod Białowieżą nie jest wprawdzie tak fascynującą konkietą, na jaką wyglądał (dla ciebie) baron, ale... może odpowiedniejszą dla twego charakteru i wychowania. Czego ci szczerze życzę, licząc, że skupiwszy resztki rozsądku, sama postarasz się wykreślić z pamięci te parę lat, które spędziłaś w środowisku, nie dla ciebie stworzonym, i te parę znajomości, które zresztą już ciebie same wykreśliły po ostatnich wypadkach, bo nic tak nie zabija, jak śmieszność. Dalsze życie ułożysz sobie zapewne gdzieindziej i na skromniejszą, a pewniejszą stopę. Nie spodziewam się więc, abyś mogła mieć do mnie jakiejkolwiek sprawy nadal. Gdyby jednak tak było, zgłoś się, proszę, do kancelarii zarządu Niewodowem, gdzie sekretarz odpowiednio zreferuje to memu mężowi.

L.



STEFANJA PODHORSKA — OKOŁÓW

ORLE SPOJRZENIE

Powieść historyczna może być silną pokusą dla pisarza o długim oddechu i głębokiej perspektywie wyobraźni, ale więcej przedstawia niebezpieczeństw, niż każda inna pokusa twórcza. Autor, obdarzony zbyt łatwością pisania, graniczącą często z grafo-maństwem, popada w banalność i pospolitość. Idąc po linii najmniejszego oporu, ścieżką, wydeptaną przez „Trzech muszkieterów”, sam nie wie, kiedy staje się na pochylinię typowej powieści awanturniczej, w której tło dziejowe odgrywa rolę przypadkowego sztafażu, tyranizowanego przez fabułę.

Umysłom analitycznym grozi nadmierne przed-ludnienie tła dziejowego szczegółami i obciążenie akcji zbyt drobiazgową psychologią bohaterów. Umysły syntetyczne skwapliwie ulegają doktrynerstwu historjofobicznemu, które paczy istotną wymowę faktu dziejowego i wykrzywia oblicze grymasem demagogji. Powieść zmienia się w traktat, epickie obrazowanie tonie w mgławicach lirycznej frazeologii.

Szczęśliwe ominięcie tych zasadzek nie decyduje jednak ostatecznie o powodzeniu książki. Decyduje nieomylny, choć bezwiedny instynkt autora, błyskawice natchnienia, rozświetlające mu, jak wódzowi przed walką, pole bitewne, na którym rozegrać się ma odwieczny bój twórcy z materialem. Rasowy autor, podobnie jak rasowy wódz, musi być tyranem. Wolno mu nawet pomiatać materiałem dziejowym, jeżeli kosztem prawdy historycznej mocen jest wywołać wizję przeszłości i wizję tę narzucić czytelnikowi z całą bezwzględnością autokraty.

Czytelnik, nawet ten bardziej wyrafinowany, lubujący się w dyskretnych podejściach do tematów współczesnych, w powieści historycznej staje się zwolennikiem polityki silnej ręki. Chętnie i bez dyskusji ulega przemocy. I dlatego może nasz ogół czytający, wbrew rozpaczliwym wysiłkom krytyki, patrzy jeszcze ciągle zachwyconymi oczami Sienkiewicza na... Kniazia Jareme Wiśniowieckiego.

Zofja Kossak-Szczucka nie da się nigdy tak ponieść animuszowi twórcemu, żeby naprzekór prawdzie historycznej stworzyć arcydzieło. Stara się być obiektywną, w ocenie zjawisk dziejowych sprawiedliwą, a sam fakt, że czytelnik to staranie się, tę troskę odczuwa, już tłumi jego zapal, zaostża krytycyzm, wyklucza moment zapomnienia. Jej „Złota wolność”^{*)} jest naogół wiernym obrazem panowania Zygmunta III, ale nie jest jego wizją. Budzi poszanowanie i podziw ogromem pracy, zastanawia krytycyzm, nieraz niepozbanionym humorem stosunkiem do opisywanych zjawisk, często wzrusza nieklamany rycerskim i patrijotycznym sentymentem, — nie porywa nigdy.

Czemu to przypisać? Czy niezbyt fortunemu wyborowi głównego bohatera, Sebastjana Pielsza, ponurego marzyciela, milczka i odludka, który nawet wśród braci arjańskiej nie typem jest, ale wyjątkiem, a tembardziej za przedstawiciela ówczesnej szlachty, za wcielenie jej dążeń i ideałów brany być nie może. Przerasta on niewątpliwie ten ogół szlachecki umysłem i sumieniem, ale nie budzi w nas ani sympatji, ani podziwu. Ten człowiek prostolinijski, prawy, zawzięty fanatyk, wyrzekający się oręża i gardzący urzędem zgodnie z nakazem swej wiary, zabił w sobie, podobnie, jak to czynili średniowieczni asceci, najcenniejszy dar boży: radość życia. I ta nieświadoma zbrodnia nad sobą samym mści się na nim okrutnie nieszczęśliwą miłością do Hanki, która, rzecz prosta, wołała tryskającego życiem husarza od surowego i ponurego odludka. Złamany zawodem serdecznym, Sebastjan rezygnuje zbyt łatwo ze swych przekonań: aby zagłuszyć mękę wewnętrzną, chwyta za oręż, idzie na wyprawę moskiewską bez przekonania, ot poprostu, aby czemś wypełnić przepaść, jaka się przed nim otworzyła. To, co z siebie daje odtąd ojczyźnie, to są tylko nędzne szczątki jego duszy, niewątpliwie pięknej, ale od urodzenia kalekiej i zatrutej jadem samoudręczenia.

Losy Sebastjana i brata jego Pietrka przemyślnie spleta autorka ze wszystkimi ważniejszymi wypadkami tego burzliwego i bogatego w zmienne obroty fortuny panowania. Nie pominęła niczego: Kircholm i Kluszyń, Chodkiewicz i Żółkiewski, Car Dymitr i Maryna Mniszchówna, synody arjańskie, konfederacje i rokosze, okropności moru, głodu i wojny, wyprawa moskiewska, skromny byt szlachecki i huczne uczty pańskich dworów, zbójnicy tatrzańscy, rzuceni na wspaniałe podmalowane tło gór, i ciemny lud moskiewski, jęczący pod jarzmem barbarzyństwa...

Ale w tem nadmiernem bogactwie gubi się to, co jest osią powieści historycznej: fabuła. Poszczególne epizody utrzymane są w proporcjach monumentalnych, zdumiewają siłą wyrazu, taki np. rozdział „Czar oręża”, albo „Przysięga”, ale całość nie ma kręgosłupa. Środek ciężkości zainteresowania przerzuca się od postaci Sebastjana do Pietrka, od Chodkiewicza do Żółkiewskiego, od Hanki do Maryny Mniszchówny, a rezultat jest ten, że „Złota wolność”, podobnie jak wszystkie siedemnastowieczne „kroniki rymowane”, nie ma ani głównego bohatera, ani mocno zadzierzgnię-

^{*)} Zofja Kossak-Szczucka: „Złota wolność”, powieść historyczna, 2 tomy, nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej, r. 1928.

tego węzła akcji, któraby przykuwała cały czas uwagę czytelnika i jego ciekawość trzymała w napięciu, jak to się dzieje przy lekturze Trylogii. Tutaj każdy rozdział jest samodzielnym niemal epizodem, luźno związanym z sąsiednimi, ale bynajmniej organicznie z nimi nie zrośniętym.

Jest to szereg świetnie opracowanych szkiców historycznych, z których każdy ma sobie właściwą twarz, a wszystkie razem jednakim rytmem bijące serca. Jest to łańcuch, pozbawiony ostatniego ogniwa. Autorka kończy go promienną fikcją zbratania się Żółkiewskiego z narodem moskiewskim, ale wobec wrogiego nastawienia i króla i szlachty do sprawy unji z Moskwą, ani hetman, ani autorka, ani czytelnik w urzeczywistnienie tej fikcji nie wierzy. Moment jest prześliczny, potraktowany z natchnieniem, ale jest tylko jednym z wielu epizodów, które możnaby mnożyć w nieskończoność, a przynajmniej do całkowitego bankructwa złotej wolności, t. j. do rozbiorów.

Końcowe zdanie Sebastjana Pielsza, powtórzone przez Żółkiewskiego: „Ciężko jest... Ale żyć, ućciwie żyć, trzeba“, jest prześliczną sentencją, ale nie przynosi żadnego rozwiązania. Tego rodzaju utwory, jak „Złota wolność“, mają wprawdzie tę szlachetną ambicję, żeby się obyć bez intrygi, ale nie bez czytelników, a to zawsze grozi beletrystyce, która pogardza lepem fabuły, albo preparuje go nieumiejętnie.

Zofja Kossak-Szczucka w „Złotej wolności“ dała z siebie maximum wysiłku, ale nie otworzyła żadnej nowej perspektywy literaturze polskiej. Ta wnuka rycerzy orlem, zaiste, spojrzeniem ogarnia przeszłość ojczystą, ale nie ma orlego skrzydeł zasięgu. Lot jej jest ciężki, jakby obciążony grzesznym indygenatem tyłu pokoleń, za których czyny świadomie bierze na siebie odpowiedzialność. W tym utajonym nurcie pokuty i skruchy, ustawicznie podmywającym zręby utworu, tkwi jego słabość i siła. W dzisiejszej literaturze nikt tak, jak Szczucka, nie czuje przeszłości szlacheckiej, nikt nie ma takiego, jak ona, instynktu solidarności uczuciowej ze swoją rasą, nad którą może sprawować najsurowszy z sądów, ale do której należy całą swą istotą, każdym atomem swego ciała, każdym drgnieniem duszy.

Ideologia nawskroś rycerska czyni z niej zdecydowaną militarystkę. Koń i zbroja, te dwa klejnoty każdego prawego polaka, są przedmiotem jej czulej adoracji. Po oględzinach oręża u płatnerza Lwowczyka, sceny, która nie ma chyba sobie równej w polskiej literaturze, nie dziwimy się Pietrkowi, że rzucił arjańską wiarę dla usarskiego moderunku. I z lekkim sercem przechodzimy nad sprawami sumienia w ówczesnej Polsce, zbagatelizowanymi nieco przez autorkę, patrzącą na nie raczej oczami żołnierza, niż teologa i statysty. Ta rycerska, nie pozbawiona jowjal-

nego rezonu, postawa sprawiła, że obaj wielcy wodzowie: Chodkiewicz i Żółkiewski, zarówno jak pomniejsi kondotjerzy i zwykli wojacy, aż do prostego ciury włącznie, są znakomicie uchwyteni w każdym rysie i utrwalają się w naszej wyobraźni, jako ludzie żywi.

Tymczasem sylwetka takiego np. księdza Skargi jest zaledwie naszkicowana drżącą, jakby niepewną ręką. Po niezapomnianej wizji matejkowskiego proroka ujrzelśmy pocziwego księżynę, gwarzącego do brotliwie z zaciętym heretykiem. Mimowoli czekamy, kiedy ten flegmatyczny, sączący słodkie komunały jezuita wybuchnie płomieniem wymowy i czekamy napróżno. Tyran i zwycięzca dusz ludzkich zmalował, przybladł, poszarzał. Niema lwa, jest tylko baranek. Postać do tego stopnia chybiona, że żałuje się, że autorka wprowadziła ją, epizodycznie zresztą, do powieści.

Ale co stanowi jej największy urok i nie dającą się wprost ocenić zasługę, to język, jędrny, gęsty, wyrazisty, plastyczny, umiejętnie podsycany archaizmami i gwarą ludową, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu zmysłowy. Rozmaitość i dobór nazw dla zwierząt domowych np. zdumiewa dosadnością. Pies Szczuckiej bywa skowerą, brzechunem, niedopieskiem. Konie to dryganty, podjezdki, woźniki, broniki. Trzeba umieć sięgnąć aż do rdzenia polszczyzny złotego wieku, trzeba się z nią tak miłośnie zespolic, tak się nią opić, upoić, zachłysnąć nią aż do utraty tchu, żeby mieć prawo posługiwać się nią z taką swobodą i maestrią. W epoce, kiedy tytuł szakali literatury uczyniło sobie z mowy polskiej plugawe żerowisko, Szczucka stawia jej pomnik z jednej bryły kryształu.

Byłoby rzeczą niesłychanej wagi polecić wszystkim dyletantom piśmiennictwa, a jest ich wśród literatów polskich znakomita większość, gorliwe przestudjowanie języka Złotej Wolności i skrzętne odszukanie jego źródeł w pomnikach literatury staropolskiej. Taka kuracja uzdrowiłaby dotkniętych trądem manjer i wlałaby świeżą krew w sklerotyczne żyły niewolników baroku. Ale żeby się na nią zdobyć, trzeba pamiętać, że praca to połowa geniuszu. Tę połowę godnie dźwiga na swoich barkach autorka „Złotej Wolności“.

Pomimo wszystkich braków konstrukcji, pomimo miejscowych niedociągnięć lub przeciągnięć pewnych charakterystycznych linii, pomimo tego, że uboczna tendencja powieści — apologja katolicyzmu, jest chybiona, powieść ta w poszczególnych momentach dźwiga się aż do wyżyn natchnienia, a w całości rozbija czytelnika-polaka silniejszym nad intelektualizm głosem krwi. Duch rasy owiewa cały utwór tem powietrzem, którem najlżej oddychać płucom człowieka wolnego.



Ś. P. ZOFJA KOWERSKA

„Bądź spokojnością wśród burz niepokoju,
W zamęcie miarą, a strojem w rozstroju”.

(Kraśiński).

Słowa te, bardziej, niż do kogokolwiek, można zastosować do zmarłej w Warszawie dnia 20 marca r. b. w 83 roku życia, *Zofji z Przenoćkich Kowerskiej*.

Spokój — nie ten, który płynie z obojętności, lecz ten, który ma źródło w głębokim zrównoważeniu i harmonji wewnętrznej; umiar we wszystkim — nie ten, co wynika z chłodu serca, lecz ten, któremu przewodzi mądrość i beznamietne odnoszenie się do spraw świata tego; dar wytwarzania wkoło siebie harmonji i przenoszenia jej na otoczenie — oto co cechowało *Zofję Kowerską* w pożyciu z ludźmi. A nadewszystko dobroć, rdzenna dobroć, wyrozumiała na cudze błędy, bez cienia egoizmu, ta właśnie, którą Szekspir zowie „mlekiem dobroci”. Gdy się chce wywołać w myśli postać *Zofji Kowerskiej*, to wszystkie Jej rozliczne zalety: głębokie uspołecznienie, wysoka kultura umysłowa i towarzyska, zdolności pisarskie, talent muzyczny (była śpiewaczką o pięknym, doskonale wykształconym głosie i pierwszorzędnej inteligencji muzycznej) — wszystko to błędnie wobec wybijającej się na pierwszy plan dobroci.

Dlatego to, mówiąc o Niej, zanim się wspomni o autorce, powiedzieć coś trzeba przedewszystkiem o kobiecie, o człowieku.

Atmosfera domu rodzicielskiego tchnęła w nią nie tylko zasady cnót domowych, ale i wysokie poczucie obowiązków obywatelskich, do których spełniania, jako córka zamożnych ziemian, miała pole rozległe. Pobyt na wygnaniu w głębi Rosji, dokąd towarzyszyła matce i bratu, zesłanym za pracę oświatową, wzmocnił i pogłębił uczucie miłości ojczyzny tem silniejsze, że wolne od wszelkiej egzaltacji. Małżeństwo z człowiekiem znacznie od niej starszym, poznanym na temże wygnaniu, ugruntowało te wszystkie cechy charakteru, zaprawiając młodą kobietę do poważnych i ciężkich obowiązków, przerastających może jej wiek, ale nie przerastających siły moralnej.

Po powrocie z wygnania pracowała dzielnie przy boku męża, najpierw na małej dzierżawie, potem na majątku własnym, o którym powiedział ktoś dowcipnie, że teraz dopiero zaczyna rozumieć, jakim sposobem Bóg stworzył świat z niczego, widząc, jak pani Kowerska z niczego stwarza Józów.

Zdolności pisarskie objawiły się u Kowerskiej dopiero w latach dojrzałych, około 30 roku życia. Po ciąg do pióra miała wrodzony, dziedziczny, pochodzący po matce z rodziny Kajetana Koźmiana. Ale życie czynne, oddane pracy obywatelskiej, oświatowej i wychowaniu pasierba oraz 5-ga własnych dzieci, nie dozwalało jej myśleć o swych upodobaniach.

Gdy, przeczytawszy o konkursie „Bluszczu” (w r. 1880) na dzieło o wychowaniu, odezwała się, że chce dzieło takie napisać, mąż jej roześmiał się tylko. Napisała — i wzięła pierwszą nagrodę za pracę „O wychowaniu macierzyńskim”. Odtąd nie wypuszczała pióra z ręki, poświęcając się jednak nadal wyłącznie beletrystyce.

Powieści jej, pisane doskonałą polszczyzną, odznaczające się fabułą niebanalną i zajmującą, ożywione zacną i zdrową myślą, zajęły poczesne miejsce w naszej literaturze pięknej z końca ubiegłego wieku i cieszyły się dużą poczytnością. Jako powieściopisarka, Kowerska zajmuje stanowisko pośrednie między Orzeszkową i Rodziewiczówną. Usunięcie na plan dalszy tendencji, a skłanianie się raczej ku tematom psychologicznym, zbliża ją do owoczesnej powieści francuskiej. Wyjątek stanowią niektóre utwory, jak przedewszystkiem nowela „Wydłona”, nagrodzona na konkursie „Tygodnika Ilustrowanego” w r. 1887 (tłumaczona na francuski w „Revue des deux mondes”), którą jeden z krytyków nazwał „perłą, spadłą z pióra” utalentowanej pisarki. Naogół jednak w jej działalności pisarskiej sprawdziły się słowa Szyllera, że „co ma żyć w pieśni, musi w pień zginąć w życiu”. Całe jej życie było wypełnione działalnością społeczną i dlatego zapewne w powieści, tworzonej przez siebie, szukała nie pola pracy obywatelskiej, lecz wytechnienia umysłu. Pod koniec życia pisała już tylko przeważnie dla dzieci i dla ludu.

Żywość i świeżość umysłu zachowała do ostatka. Nie tylko czytała wiele, interesując się wszystkim, co się działo dookoła, lecz i nie przestawała pisać. Dnia 23 stycznia r. b. zaczęła powiastkę dla dzieci. Skończyła ją 15 lutego i, wytechnawszy parę dni, zabrała się do drugiej, którą doprowadziła prawie do końca. Śmierć wytrąciła jej pióro z ręki.

Umierała przytomnie, otoczona gronem dzieci, wnuków i prawnuków, odnosząc się — jak zawsze — spokojnie i filozoficznie do wyroków Bożych.

Niech Jej ziemia wolnej Polski lekką będzie!

Al. Świd...



MAŁŻEŃSTWO

II.

Gdyby młodzi chcieli, mogli i umieli korzystać z doświadczenia tych, poza którymi leży życie — duchowa szczepionka, uodporniająca przeciwko popełnianym błędom i zawodom, byłaby zdolną czynić cuda — cuda w zrozumieniu zaoszczędzenia sił żywotnych i duchowych, roztrwanianych tak intensywnie na wyłuskanie ziarna prawdy z grubej obłonki naszej ignorancji życiowej, chodzącej w parze z promienną wiarą, tą najcudowniejszą wiarą młodości.

Jednakże problem wszczepienia młodości spokojnego zrównoważenia, opartego na cudzym doświadczeniu, jest problemem nie do rozwiązania — problemem, który zburzyłby świetlany gmach, w jakim śpi zaczarowana królowna.

Głos rozwagi, głos ostrzegawczy, nie dojdzie nigdy do uszu, które nie chcą słyszeć i nie chcą usłuchać, broniąc w ten sposób zatrzaśniętych drzwi świątyni, poza którymi kryje się złuda, przed wtargnięciem rzeczywistości — tego największego wroga młodych zapaleńców.

Jednakże przychodzi czas, kiedy do świątyni tej wkradają się mroki; wieczna lampa, oświetlająca wnętrze płomieniem wiary i zapалу, przygasa; wylania się pragnienie, potrzeba jakiegoś innego, mniej fascynującego, a zato wyraźniejszego i trwalszego światła — światła prawdy. I oto jest znamienita chwila, w której młodość zaczyna ustępować dojrzałości, chwila najintensywniejszego zmagania się wewnętrznego, pierwszy krok, postawiony na drodze ku rozumnej rozwadze i doświadczeniu.

Prawdy, głoszone przez tych, co dawno już skończyli z okresem „górnym i chmurnym“, nabierają głębszego znaczenia, stają się nieomal drogowskazem, skarbnicą pociechy i ukojenia. Starajmy się zatem, my, już wtajemniczone, nanizac długi sznur tych cennych prawd, niby paciorków różańca, aby chwiejne, wątpliwe dłonie znalazły w przesuwaniu ich pociechę i ostoję, gdy przyjdzie ciężka chwila, zatruta przeświadczeniem, że oto one jedne cierpią ponad miarę.

Daleką jestem od nadziei, aby moja „prawda“, zdobyta na podstawie własnych przeżyć, obserwacji i wczuwania się w przeżycia innych, miała być uznana za prawdę doskonałą i ostateczną. Głosząc ją, oddając poniekąd do użytkowania, czekam wzajemnego pogłębienia, oświecenia pod innym kątem, dopełnienia, wynikającego z rozpatrywania jednego i tego samego problemu przez pryzmat odmiennej duchowości.

Na drobiazgowy rozbiór istoty małżeństwa ze wszystkimi jej bolączkami, zawodami i niedoborami — niema miejsca w ramach zwyczajnego artykułu: jest to raczej temat do rozprawy filozoficznej, przetrastającej moje siły.

Aby nie gubić się w szczegółach, nie płątać i nie rozpraszać, postawmy sobie pytanie: „Jakiem powinno być małżeństwo?“, pozostawiając pozornie na boku sprawę: „Jakiem być nie powinno“. Jeżeli mówię — pozornie — mam na myśli fakt, że zgłębienie pierwszego pytania będzie samo przez się odpowiednikiem na to drugie, jakoby pominięte.

Małżeństwo powinno być spółką życiową, założoną na podstawach: miłości, zaufania, szacunku, dążenia do wspólnego, wyraźnie zakreślonego celu; równowagi materialnej; wszechstronnie ujętej lojalności i obowiązkowości. Dalszemi, uzupełniającymi, paragrafami tej umowy muszą być: spełnianie wszystkich wziętych na siebie zobowiązań i to spełnianie nie z jakąś desperacką zaciętością, ale w myśl promiennej zasady, która każe brać je „z uśmiechem“; przyjazna życzliwość, sympatja i zainteresowanie; absolutne wykreślenie prawa pogwałcenia czyjejs indywidualności i rozwoju; jednym słowem, zapomnienie o długo, zbyt długo uprawnionem niewolnictwie dusz i uczciwa, rozumna szczerłość i sprawiedliwość.

Ludzie, stojący u stopni ołtarza, pod czarem obustronnego miłosnego upojenia, wierzą zawsze i niezmiennie, że miłość ta nie straci nic ze swej intensywności przez całe życie. Dzieje się wprost przeciwnie: im — więcej, niż komukolwiek, potrzebna jest samoanaliza i zastanowienie. Kto zaczyna duet od bardzo wysokiej nuty, obliczyć musi dobrze, czym zastąpić zdoła te nadmiernie wysokie tony, gdy mu ich w głosie, napozór dobrze i trwale postawionym, zabraknie. Sympatja, szacunek, zaufanie, wspólność zainteresowań i dążeń, są doskonałym zapoczątkowaniem trwałej, wzrastającej z dniem każdym, jedności; tak zwana miłość, jeżeli nie jest czemś zjawiskowym, rzadko w życiu spotykanem, czemś pełnem i wspaniałem, odnalezieniem drugiej połowy „ja“, a jedynie chwilowym upojeniem wyobraźni, czy zmysłów — musi mieć się na baczności i musi czuwać, ażeby w chwili przygasania płomienia miała już pod ręką nowe, realne wartości, które przerobią przejściowe upojenie na trwałe przywiązanie i wspólnotę.

Naogół największą bolączką małżeństwa, przyczyną zobojętnienia i rozdźwięków, jest dosłowny brak prawdziwego, głębokiego zainteresowania, które występuje wprawdzie w pierwszych chwilach, gaśnie jednak wkrótce, niczem słomiany ogień. Wynika to z niedoceny ważkości stałego kontaktu duchowego, wymiany myśli i wrażeń, zabijania uczuciowości przez dziwną opieszałość, która zwykła szukać usprawiedliwienia w mylnym przeświadczeniu, że wypowiedziano sobie już wszystko, co było do powiedzenia, i że to wystarczy, jako trwałe łącznik uczuciowy na całe życie.

Zbyt prędko dają się jednak zauważyć skutki takiego odgródnienia się nieprzeniknionym, chińskim murem milczenia — mąż i żona stają się wkrótce dwoj-

giem obcych ludzi, z których każde ma swój odrębny świat myśli, zwątpień i nadziei, pragnień i marzeń. Najczęściej jest to wynikiem nieśmiałości, pewnej, jakoby, skromności duchowej, powstrzymującej przed odsłonięciem najtajniejszych dziedzin: zobopólnym brakiem zaufania i brakiem zainteresowania się ewolucją, jaka dokonywa się w drugiej duszy. To są najczęstsze i podstawowe przyczyny rozdźwięku. Małżeństwo nie jest bynajmniej *zakończeniem*: jest — *początkiem*. Pobierając się, wierzymy zawsze, że znamy się doskonale i twierdzenie to jest może narazie sprawiedliwe. Jednakże życie wykazuje bezpodstawność zadowolenia się tem chwilowem zgłębieniem. Bo oto dzień za dniem człowiek zmienia się i kształtuje. Etapy życiowe porównać można do pór roku, w ciągu których każda chwila sprzyja przekwitaniu, owocowaniu i rozwojowi nowych kwiatów — nie wcześniej i nie później, aż przyjdzie wskazana pora. I tak, jak wiosną natura stawia przed oczy nasze obraz zgoła odmienny, niż ten, który oglądać będziemy w lecie — tak ludzie, łączący się w zaraniu młodości „na śmierć i życie”, są zasadniczo różni od ludzi, którzy po dziesięciu latach kroczą wspólną drogą. Jeżeli droga ta ma być niezmiennie rozświetlona słońcem dobrego porozumienia — wszystkie ewolucje, wszystkie przemiany, cały okres zmagania i wahań, przekształcania się poczwarki w motyla, musi być przeżywany wspólnie, bez tajemnic i niedomówień, bez odgradzania się milczeniem.

Niedocenienie konieczności współżycia duchowego, które, zależnie od poziomu jednostek, jest mniej lub więcej pogłębione — to największy wróg dobrego, harmonijnego porozumienia. Ze wspólnoty duchowej rodzi się poszanowanie indywidualności, zaufanie, życzliwa, pełna wyrozumienia przyjaźń, tak rzadko w małżeństwie spotykana, szczerza sympatja, zainteresowanie i ciepła atmosfera, bez której wspólne bytowanie jest niewolą i męką. Związek cielesny, bez związku duchowego, staje się — szczególnie dla kobiety — ciężarem i nierządem, które noszą w sobie zarodki buntu, goryczy, poniżenia i zobojętnienia, a wreszcie niechęci, aż do przymusu włącznie.

W małżeństwie przedwojennem było może mniej miejsca na to, co dzisiaj staje się powoli koniecznością i prawem. Role naogół były nierówne. Mężczyzna, obciążony obowiązkiem bezwzględного dostarczenia środków na prowadzenie mniej lub więcej aksamitnej egzystencji — kobieta, przypominająca, niestety, częściej dobrze opłacaną niewolnicę, niż człowieka, która podświadomie wyczuwała, że krzywdzi i wzamian jest krzywdzona, jednakże szła utartym gościńcem bez wyraźnego buntu i bez wyraźnej żądzy zmiany. Dzisiaj zależność materialna, a z nią i zależność moralna są, na szczęście, coraz rzadszym przejawem. Jeżeli ludzie nie wnoszą w życie małżeńskie obustronnych dochodów, dzieła się walka o byt. Jest to koniecz-

nym wynikiem współczesnych warunków ekonomicznych, moralnych i etycznych. Wspólna praca, a wraz z nią powaga, poczucie własnej godności i praw — mają wszelkie dane potemu, aby odrodzić instytucję małżeństwa, uwolnić ją od wielu niesprawiedliwości, okrucieństw i małostek, przeistoczyć w coś bardzo cennego i dostojnego: w związek rozumny, dobrowolny i trwały dwóch wolnych pod każdym względem jednostek, które nie pod wpływem chwilowego zaślepienia, a z wolnej i nieprzymuszonej woli dążą do wspólnego, wyraźnie zakreślonego celu, szanując obowiązek, doceniając wszechpotężny urok i ważkość uczciwego spełnienia go, zarówno w małych, jak i wielkich rzeczach. Dopiero takie małżeństwo — jedynie godne nowych, wyłaniających się z dzisiejszego chaosu, ludzi — stanie się źródłem wielkiego spokoju, szczęścia i równowagi — źródłem odrodzenia.

Walczyć o zrealizowanie tego ideału będzie w pierwszym rzędzie kobieta, która nie tylko wychowała nowego mężczyznę, zdolnego wznieść się ponad uświęcone wiekami zaślepienia i przesady, ale włoży całą swoją niespożytą siłę ducha i zapal w dążenie do upragnionego celu.

Słowa poety, któremi zaczęłam to moje credo, są jakby umyślnie pisane dla wszystkich tych, które na nowej drodze tysiąckrotnie szukać będą siły wytrwania, a znajdują ją jedynie w przeświadczeniu, że gałąź życia, uginająca się pod ciężarem chwilami zbyt trudnego przedsięwzięcia, jest niczem wobec silnej woli wytrwania i zwyciężenia, która rozwija do lotu skrzydła najbardziej znużone.

Wanda Dobrzańska.

JAK ZBIERAĆ GRZYBY?...

...Odpowiedź najprostsza w świecie: — Do kosa! — A jeśli go kto nie ma pod ręką, to choćby w tutkę papierową, w chusteczkę, byle smakowity skarb unieść z triumfem i zasilić nim menu obiadowe, lub nawet śpizarnię.

Ale tak myślą i czynią... Wandale!

Bo ludzie, zdający sobie sprawę z faktu, iż są dziećmi przyrody, odpłacać się będą jej, matce, za miłość i troskę uczuciem równym, dbając o nią, choćby dla szczęścia własnego, pewni, że każdy, najdrobniejszy nawet gest szczerzego względu dla niej, — nie mówmy już o miłości! — odpłaci przyroda stokrotnie, co raz to nowe skarby z łona swego dla dobra ludzi i zwierząt wydając!

Jakże pięknie mówią o tem ludowe baśnie, w które zaśluchiwało się nasze dzieciństwo! Sierotka u zlej macochy, pasąc raz bydło nad potokiem, uratowała z wodnej toni mrówkę, podając jej suchy liść; wdzięczna mrówka poleciała jej trzykrotnie wezwąć się w każdej ciężkiej potrzebie, a niezawodnie

nadbiegnie z pomocą. I stało się wkrótce, że zła macocha, idąc z córkami na bal królewski, sierotkę-pasierbicę zostawiła w domu, kazać jej przebrać do rana miskę maku, zmieszanego z popiołem, pod groźbą najsurowszych kar. Aliści zjawia się przywołana mrówka z niezliczoną rzeszą towarzyszek i w mig oddziela mak od popiołu.

Komuż z nas ta bajka nie jest znana? Kto nie wie jeszcze, że Kopciuszek został królową, nie dlatego, moje Panie, że miał prześliczną, małą nóżkę, ale, że kochał przyrodę, która za miłość nagradza zawsze po królewsku!

...Tymczasem..., kto z nas odważy się skłamać, że nigdy w życiu nie kopnął ze wzdargą, lub nie rozdeptał ze złością żadnego grzyba?... Albo, kto powie, że zbierając grzyby dobre, nie przycinał ich przy ziemi nożykiem, w naiwnym mniemaniu, że z pozostawionego „korzenia” nowy grzyb urośnie?!...

Za moich dziecinnych lat, pomnę, było grzybów wszędzie wbród! Gdzie tylko było wejść w las, prawdzików moc, że aż kosze się gięły! I kilogram grzybów suszonych, pamiętam dobrze, kosztował 10 do 20 kopiejek. W wiele lat później, tuż przed wielką wojną, za grzybem prawdziwym trzeba się było dobrze po lesie uganiać i do dnia na grzybobranie wstać, a kilogram prawdzików suszonych kosztował tyle prawie, co kilogram mięsa wołowego.

A dzisiaj?... Wstań do dnia i zbiegaj las cały, nie znajdziesz grzyba ni jednego, a... a kilogram suszonych prawdzików „bolszewickich”, bo naszych niema, kosztuje — piętnaście razy tyle, co kilogram mięsa wołowego!

Cóż to się stało? czy czary jakie, czy na grzyby zaraza?...

Nie! to tylko skutek... przycinania grzybów przy ziemi i wiara w nonsens wierutny, że z „korzenia” nowy grzyb wyrasta!

Wiadomości z botaniki dla szkół elementarnych uczą, że grzyb jest rośliną bezzieleniową, bezkorzeniową, bezpędową.

Ale ktoby tam... się uczył! Praktyka mówi inaczej i dlatego dziś: 17 i pół miliona, jako 65 proc. ludności rolnej, i najmniej połowa t. zw. inteligencji, t. j. około 5 milionów, czyli razem 22 i pół miliona ludzi w Polsce, — najświęciej jest przekonanych, że trzon owocu grzyba, to jego korzeń, z którego wciąż jak u trawy po skoszeniu, coraz to nowe wystrzelają pędy, zdolne wydać kwiat i owoc i nowe rozradzać pokolenia.

Właściwym grzybem są owe cieniuchne, lub nieraz bardzo grube nitki, sznury, i liny, jakie spotykamy w głębi leśnej ziemi, pośród mchów, na gnijących liściach, pod korą drzew i t. p., a które zwykliśmy nazywać pleśnią. To zaś, co zawsze nazywamy grzybem, jest tylko jego owocem.

Właściwy grzyb, zwany w nauce grzybnią, u wielu gatunków ziemnych, ciągnie się w podłożu promie-

nisto nieraz na mile całe, tworząc sploty grubości nawet i ramienia ludzkiego. Czemże są zatem wobec niego najstraszliwsze mistyczne potwory, owe kilometrowe węże morskie i t. p.?

A w nieznanych do dziś jeszcze mądrości ludzkiej warunkach wysyła taki potwór ponad życiodajne podłoże owoce, które wydają na szeroki świat niezliczone nasionka, zwane zarodnikami.

Kto ciekaw, niech położy czapkę jakiegokolwiek świeżo zerwanego grzyba, wierzchem ku górze, na czystym, białym papierze; następnie niech umieści to w miejscu zupełnie spokojnym i nieprzewiewnym na parę godzin; wreszcie, niech zdejmie szybko, a bardzo ostrożnie, czapkę grzyba z papieru. Zdumiony, zobaczy na nim najdokładniejszy negatyw czapki, jakby ręką artysty wykonany. Bo też to i artysta był najprzedniejszy, matka-przyroda, która i oderwanemu od macierzy, więc „zabitemu” grzybowi kazała spełnić najpierwsze dla żywizny prawo: prawo zachowania gatunku. I przez owych parę godzin zabity grzyb sypał na papier swe niezliczone dzieci, sypał tak gęsto, że aż najwyraźniejszy swój wizerunek zostawił.

Zarodnik grzyba powiększyć trzeba 300 do 400 razy, aby go zobaczyć. Przeciętna pieczarka polna „żyje” 2 do 3 dni, wysypując na godzinę 40 milionów zarodników. Zatem, kto chciałby grzyba „zabić”, musi go spalić, lub ugotować, bo choćby oderwany od macierzystej grzybni i porzucony, — powinność swą spełni i potomstwo rozsypie. Nawet zjedzony na surowo, nie zapomina o tym najwyższym nakazie przyrody-matki, czem się tłumaczy fakt, że najlepszymi rozmnożycielami grzybów są zwierzęta, najstraszniejszymi zaś szkodnikami — ludzie!

Lecz aby to jaśniej zrozumieć, wyobraźmy sobie ogrodnika, który na najurodzajniejszą jabłoń w sadzie wylał z koszem i nożem na zbiór jabłek; który nie zrywa ich jednak w całości, lecz, ostrożnie każde jabłko przekroiwszy na pół, połówkę bierze do kosza, a drugą zostawia na drzewie.

Ba! trudno sobie wyobrazić coś tak idjotycznego, nieprawdą?

I wyobraźmy sobie skutek takiego zbioru: oto — do tygodnia — pozostawione na drzewie połówki zgniją, spleśnieją, zrobaczeją, a do dwóch, trzech tygodni — zaczną gnić, lub chorować na różne pasożytnicze grzybki, gałązki, wreszcie gałęzie i konary, i do roku jabłoń rozsypie się w próchno.

Czyż mam tu przeprowadzić analogję tego faktu do sposobu zbierania u nas grzybów?...

Jakżeż więc grzyby zbierać należy?

Sposób jedyny taki: do grzyba podchodzić lekko, możliwie zdaleka wyciągnąć rękę, grzyb delikatnie ochłetać, wreszcie wykręcić lekko pewnym ruchem i — *przedemszystkiem powstały po grzybie w podłożu otwór natychmiast zasypać ziemią!*

Tak czyniąc, przestaniemy wreszcie być Wandalami!

Grzybnia nie znosi światła i chłodniejszego, zewnętrznego powietrza: zostawiony więc po owocu otwór grzybni w dużym promieniu wyniszcza. Tylko zasypując otwór ziemią zaraz, możemy być pewni, że nowy owoc, niebawem w tem samym miejscu, lub tuż opodal, wyrośnie.

W całej Polsce panuje ogólnie zabobon, że na wzrastający grzybek nie wolno „zrobić oka“, lub go dotknąć, bo napewno gdzieś się podzieje.

Lecz, czy to „zabobon“? Nie, to najrzetelniejsza prawda! Bo kto młodego grzybka chce dotknąć, lub obejrzyć go ze wszystkich stron, ten musi blisko przysiąść; a drepcąc wokół owocu, bezwiednie zmiażdży promieniejącą odeń pod powierzchnią ziemi grzybnię; gdy zatem ginie matka, trudno żądać, by dziecię jej bez dopływu odżywczych soków mogło dalej żyć i dojrzewać.

Jak więc zbierać należy grzyby?

Oto w zgodzie z przyrodą-matką, która zachłanną, rabunkową gospodarkę, zawsze w każdym wypadku pomści, skutkiem czego, najbogatsza w grzyby Polska sprowadzać je dziś musi z Rosji i płacić za nie nieprawdopodobne ceny. W Niemczech od 2 lat istnieje dla grzybów taka sama ustawa ochronna, jak dla ryb, raków i dziczyzny. My jednak wciąż jeszcze wierzymy w „korzeń“ u grzybów, wyniszczając je coraz bardziej przez brak rozumnej woli do szerzenia nowych, imponujących cudami nieznanymi, światel, jakie niesie tegoczesna nauka grzyboznawstwa.

Feliks Teodorowicz

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SZTUKA MIĘSA W GARNKU.

Kilo mięsa bez kości — od zrazówki lub krzyżowej — przekrajać na sześć cienkich plastrów, wybić mocno, osolić. Garnek kamienny lub inne naczynie ogniotrwale wyłożyć słoniną, pokrajaną w cienkie

plastry (20 deka słoniny) i drobno pokrajaną włoszczyzną: cebula, marchewka, pietruszka, włoska kapusta, seler i t. p.

Włoszczyzny przygotować około pół kilo. Na nią ułożyć zrazy, na zrazy kilka plasterków cytryny bez skórki i ziarenek, łyżkę masła, resztę włoszczyzny. Na wierzch położyć jeszcze pozostałe plasterki słoniny, kilka ziarn pieprzu i ziela, na koniec zalać szklanką wina węgierskiego (może być krajowe, typu Tokaj). Garnek przykryć pokrywą, okleić grubym pasem pergaminu, lub zalepić ciastem chlebowym. Wstawić w piec na dwie i pół godziny. Otworzyć garnek w chwili podania do stołu, aby się aromat nie ulotnił, owinać go starannie serwetą, ustawić na półmisku i natychmiast podawać.

Pani Elżbieta

DO WIADOMOŚCI CZYTELNICZEK

W myśl drukowanych niejednokrotnie w „Bluszczu“ artykułów, poruszających sprawę prowadzenia pensjonatów, donosimy Czytelniczkom, że Zarząd Związku Uzdrowisk Polskich w Warszawie organizuje od dn. 15.IV do 15.VI kurs korespondencyjny dla prowadzących hotele i pensjonaty.

Wiadomo dobrze wszystkim, jak wzorowo i fachowo prowadzone są te rzeczy na Zachodzie, jak bardzo liczą się tam z gościem i jego wygodą. To też dyletantyzm, a często wyzysk, panujący u nas, tembardziej razić muszą osoby, przywykłe do systemu Zachodu.

Kurs powyższy, obejmujący 16 dziedzin życia pensjonatowego, będzie się starał możliwie najdokładniej zapoznać słuchaczki z arkanami prowadzenia pensjonatów. Szereg wybitnych sił fachowych daje gwarancję całkowitego ujęcia tematu. Sposób korespondencyjny ułatwia i udostępnia naukę osobom, zamieszkującym najdalsze miejscowości. Każdy słuchacz lub słuchaczka otrzyma 18 wykładów. Zapis wynosi 50 zł. dla słuchaczy zwyczajnych i 60 zł. dla nadzwyczajnych. O bliższe informacje zwracać się należy do „Związku Uzdrowisk“, Al. Szucha Nr. 8.

WŁOSÓW



WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM“).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY



CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL“
USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT“

WARUNKI PRENUMERATY

» kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak.-Przedm 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak.-Przedm. 99, tel. 239.40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Ryńska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

P. Eugenja Masiejewska — Wilno.

Południe. Sala Kasyna garnizonowego wypełniona po brzegi. W głębi, na podwyższeniu stół dla prezydium. Obok stolik dla prasy. Trzymając swoją legitymację, kieruję się w tę stronę z miną, zdecydowaną na wszystko. Panowie robią mi miejsce. Siadam. Rozglądam się.

Mężczyźni stanowią znikomą mniejszość w sali. Właściwie są tutaj tylko w charakterze oficjalnym, jako przedstawiciele władz i ugrupowań polityczno-społecznych. Pozatem kobiety. Delegatki Zw. Pr. Społ. Kob. z Wilna i terenu wileńskiego oraz nowogródzkiego. Są i goście z Warszawy, przedstawicielki Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Przesuwam się spojrzeniem po siedzących w sali kobietach. Są różne. Starsze i młodsze, eleganckie i zaniedbane, pewne siebie i nieśmiałe.

Mało na sali uśmiechów; niemal wszystkie twarze skupione, a miękkie, młode rysy niektórych kobiet stwardniały w niezwyklej powadze, jak twarze żołnierzyków na chwilę przed walną rozprawą. Poślam jednej takiej zastygłej w napięciu uwagi, a mimo to dziecinnej buzi, uśmiech przelotny. Odpowiedź w zdziwionym półuśmiechu jest zupełnie wyraźna.

— No, tak... bardzo mi przyjemnie... ale teraz należy przede wszystkim uważać!

A więc — uważajmy. Smukła postać prezeski Związku Pr. Sp. Kob., pani Janiny Kirtiklisowej, stanęła przy dużym stole, zaczyna się.

Spokojny głos młodej kobiety w niewyszukanych słowach charakteryzuje dotychczasową działalność związku. Radość przesiąka w szczeliny słów, mówiących o rozkwicie organizacji, w którą prezeska włożyła tyle sił i zapału.

...Wielki cel dobra państwowego przyświecał poczynaniom kobiecym; żmudną drogę opromieniły wysokie ideały. W trosce o przyszłe pokolenia jest nieomylność prawnieckiego instynktu macierzyńskiego. Organizacja wileńska to cząstka wielkiego ruchu kobiecego, który wzbiera, jak wiosenne wody — nie też dziwnego, że w 9 miesięcy po ukonstytuowaniu się związku wileńskiego (r. 1927), powstał podobny związek w Warszawie. Wielkie podobieństwa programów nasunęły myśl o zlaniu się tych dwóch samodzielnych organizacji. Ale narazie organizacja wileńska wołała iść samotnie swoją drogą. Dużo było przyczyn potemu. Teraz sprawa już dojrzała. Od dnia dzisiejszego Związek Pracy Społecznej Kobiet

istnieć przestanie, jako samodzielna jednostka, zlewając się ze Związkiem Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Prezeska zakończyła swoje przemówienie. Rozpoczęły się teraz powitalne przemówienia przedstawicieli rządu, miasta, organizacji i zrzeszeń najrozmaitszych. Ja zaś straciłam wkrótce wątek słów uroczystych, bowiem stałam się nagle pełna niepewności. Czy dobrze robimy, łącząc się z Warszawą? Mało znałam, co prawda, kobiet z Warszawy... Ale o Warszawie urobiło się u nas specjalne pojęcie. Gadają i gadają... Intrygują... Wywracają ministerstwa... Wyrażają votum nieufności... Wrzeszczą na sejmie... No... i piszą okólniki!

A okólniki stanęły nam kością w gardle. Ileż to takich papierków Kresy musiały przechorować boleśnie. Brr... Czułam, że włosy mi stanęły na głowie na myśl, że może za parę tygodni Centrala Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet zaszczyca nas pierwszym transportem okólników...

Zrozpaczona, zaczęłam bliżej przyglądać się pani Moraczewskiej, która siedziała w otoczeniu grona kobiet. Miła, jasna twarz pociągnęła ku sobie moje skłonne do roztkliwień, kresowe serce.

Ale zawzięłam się... Hm! Pewnie! Trudno przypuścić, żeby osoba o takich dobrych oczach miała jakieś złowrogie zamiary... Jednak przecież tu są inne panie z Warszawy. Właśnie posłanka Jaworska rozpoczęła referat o potrzebie reformy Konstytucji. Postanowiłam w jej stronę zwrócić swoje warszawskie animozje.

Ale... była taka maleńka, szczupła i delikatna. Mówiła tak rzeczowo, mądrze i spokojnie. Nie, stanowczo nie mogłam w stosunku do niej nastroić się nieprzychylnie.

Pozostawała więc pani Strzelecka. Miała ciemną cerę, ciemne włosy, oczy duże i błyszczące. Czarna pani z równo obciętą grzywką.

Tak... O, tutaj prawdopodobnie mieścić się musi „nieprzyjemny” charakter warszawski. Chęć przewodzenia i górowania. Cała studnia zarozumiałości.

„Czarna pani”, nie przeczuwając, że ktoś umiejscowił w niej wszystkie „warszawskie” wady, spoglądała bystre oczyma po sali bez najmniejszej troski.

Po referacie posła Brokowskiego powstała z miejsca i silnym głosem wzięła salę w posiadanie.

Do nas, kobiet, mówiła. O naszej zapoznanej godności, o niewyzyskanych siłach... Wyrzuciła nas z domu ekonomiczna konieczność. Pracować kazała w najniegodniejszych warunkach. Zorganizować się trzeba, stworzyć w państwie dla córek naszych

lepsze tej pracy warunki. A mimo wielu powodów do smutku, nie dać się pesymizmowi. Przeorać psychologię społeczeństwa, skłonnego do utyskiwań i biadania. Rozjaśnić wszystko uśmiechem. Nauczyć się żyć mądrze, szlachetnie i wesoło...

Na sali znać duże wrażenie. Nie, ta kobieta zaczyna mi się podobać. Jestem rozbrojona.

Rzeczywiście, trudno mi jest utrzymać się „w stylu”. Nie mogę dokopać się w sobie żadnej niechęci do „pań z Warszawy”. Rzucam w ich stronę parę zachwyconych spojrzeń. Nie! tak nie można. Nazywam siebie „sentymentalnem cielęciem, które można złapać na słówka”, ale to nie zmienia sprawy. Front przełamany. Macham ręką i postanawiam wytrwać przynajmniej w dostojnej obojętności.

Jest przerwa obiadowa. Podczas obiadu w górnej sali hotelu „Georges’a”, pani Strzelecka szturmem zdobywa wileńskie serca dowcipnymi przemówieniami. Nastrój ociepla się znakomicie. Zanurzam się z głową w tę miłą atmosferę i tracę przytomność do tego stopnia, że zaczynam wznosić toasty.

Ostatecznie... pal sześć!... może i dobrze będzie.

O piątej ściśle, poufne obrady. Mniejsza sala w Kasynie wypełnia się szczelnie. Zjazd ma wysłuchać sprawozdań poszczególnych delegatek i rozstrzygnąć ostatecznie, czy mamy zlać się ze Zw. Pracy Obyw. Kobiet.

Sprawozdanie składa Wilno, Lida, Głębokie, Wilejka, Mołodeczno, Święciany, Oszmiana, Smorgonie, Brasław.

Ze sprawozdań widać, jak szeroki zakres objęła już praca kobiet. Ileż to biednych główek dziecięcych przygarnęły dobre, zapobiegliwe dłonie. Jak wiele nędznych matek korzysta z fachowych porad i serdecznej pomocy. Dzieło miłosierdzia idzie, śpiesząc się i nie oglądając się na nic, drżąc ze strachu, czy przyjdzie jeszcze w porę; dzieło uświadczenia polityczno-społecznego podąża wolniej i ostrożniej, by po przejściu Miłosierdzia stanąć przed nędzą na pewniejszym gruncie.

Podczas dyskusji, która się wywiązała nad sprawozdaniami, mogę czynić dalsze spostrzeżenia i obserwacje. Widzę, że nasza prowincja wcale nieźle się prezentuje. Są mądre i dzielne jednostki.

Warszawa jest efektowniejsza w wystąpieniach. Bojowa i niespokojna w dyskusji. Żadna wyraźniejszych posunięć politycznych.

Nasze kobiety są cichsze i mniej śmiałe. Mówią z namysłem i niezbyt chętnie. Patrzą czujnie i badawczo, starając się czerpać wskazówki dla przyszłych poczynąń ze wszystkiego, co widzą i słyszą. Dostrzegam w tłumie niektóre znajome twarze, nieco chmurne pod wysiłkiem jakiejś uporeczywej myśli, która domaga się rozwiązania. Nagle ogarnia mię fala roztkliwienia. Czuję się częścią świata kobiecego i uświadamiam sobie w tej chwili najwyraźniej, jak bardzo kocham te wszystkie moje siostry...

Zbliża się moment decydujący. Łączyć się, czy nie łączyć?

Postanawiam w duchu wyrazić zgodę swoją z pewnem zastrzeżeniem. Obiecuję sobie wyłuszczyć

w przemówieniu wszystkie „ale”, które mogłyby stanąć połączeniu na przeszkodzie, zaprotestować przeciwko krzywdzącemu traktowaniu Kresów przez Stolicę...

Ale właśnie wstaje pani Moraczewska. Referat programowy, ostatni i decydujący. Zamieniam się w słuch.

Pani Moraczewska mówi z serca do serca. Wierzy w kobiety. Ufa kobietom. Mówi o kobietach warszawskich ze Związku Pr. Obyw. Kob. z uniesieniem. Chce tego, czego i my pragniemy. Czystej atmosfery w państwie i polityce; piękna i dobra w życiu; szczęścia i śmiechu dla naszych dzieci.

A talentów kobiecych jest moc. Trzeba je tylko skoordynować. Razem podjąć najwyższy wysiłek pracy. Kobiety w Warszawie, wybrane z najgodniejszych, jakie posiada stolica, opracowały szereg zagadnień ze wszelkich dziedzin, które nas interesują; opracowały poważnie i fachowo — podzieliły się tem chętnie z Wilnem. Wilno da im swoje doświadczenie, zdobyte na innym terenie pracy. Korzyści z połączenia są niezliczone. Zresztą połączone Związki silniej będą mogły stanąć przy Marszałku Piłsudskim. A gdy pani Moraczewska mówi o Marszałku, twarz jej się zmienia tak, jak i nam, gdy imię Jego wymawiamy.

Nie!... nie powiem już nic, nic. Rezolucja o połączeniu obydwóch Związków przyjęta jest przez aklamację. Stało się!

Patrzę w dobre oczy pani Moraczewskiej, dostrzegam jej uśmiech, który budzi się pod wpływem mego spojrzenia, i czuję wielką, świętą radość w duszy, że tak dużo jest w Polsce kobiet szlachetnych i że poprzez tyle rzeczy smutnych, poprzez gwar intryg i mactw politycznych można sobie podać czyste i żadne pracy dłonie.

P. Wiktorja Rymwid - Mickiewiczowa — Ko- rościatyn.

Istnieje cały szereg nieporozumień między kresowcami a mieszkańcami rdzennej Polski. Jednym z nich, najmniej zrozumiałem, a w swej istocie najbardziej charakterystycznym jest różne pojmowanie odległości. Przeciwnemu warszawianinowi (nieprzeciętnemu, niestety, też) wydaje się np. Wołyń czemś dalekiem i egzotycznym, jak biegun południowy. Mało brakuje do tego, żeby pytano, czy wilki chodzą po ulicach Korea czy Ostroga. Ta daleka Warszawa nam wydaje się bardzo bliską. Podtrzymuje się z nią stały kontakt. Jeździ się często i bez przygotowania specjalnych ekspedycji. Zato granica bolszewicka, odległa czasem o kilkanaście czy nawet kilka kilometrów, nikogo nie zaprzęta. Wyda się gdzieś tak daleko, że nie przyjmuje się jej pod uwagę w żadnych obliczeniach gospodarczych czy społecznych. W 1924 r., w pełni napadów band dywersyjnych w miastach, wsiach i dworach, odległych o 5—6 kilometrów od granicy, życie płynęło tym samym trybem, co dziś, a w Warszawie człowiek, wybierający się do Równe-

go (60 klm. od Korca i granicy) wydawał się bohaterem, śmiałkiem, włączającym w paszczę smokowi. Dlatego też z jednej strony możliwa jest tu praca, zakrojona na szerszą skalę, obliczona na dalszą metę, bez oglądania się na stale grożące niebezpieczeństwo, zaś z drugiej (tak się nam, kresowcom z Wołynia, przynajmniej wydaje) stosunek Centrum do Kresów niepokorny, stale wahający się, nie mający żadnej określonej wytycznej, przez to jakby obliczony nie na wieki trwania, a na krótką metę, na „tymczasem“. Na wszystko, co się tu dzieje, patrzy się albo zbyt optymistycznie, albo w najczarniejszych kolorach.

Rzeczywistość wołyńska jest zadaniem trudnym, ale nie niemożliwym do rozwiązania. Poza całym szeregiem kwestyj gospodarczych, wobec ruiny, pozostawionej przez wojnę i bolszewików, specjalnie ostry jest jeszcze splot interesów narodowościowych, jak zawsze rozbieżnych i wymagających niezwyklej ostrożności i rozważań w rozplątaniu. I wydaje mi się, że szczęśliwe postawienie pierwszych wiele pomocy może w załagodzeniu drugich.

Praca, podjęta w tym zakresie i wykonana, nie da się obliczyć. Jakby egzaminem, zdany pomyślnie po ośmioletnim trudzie, była wystawa łucka. Kto pamięta stan wsi wołyńskiej w roku 1920 i rozejrzy się w obecnych stosunkach, ocenić będzie mógł tej pracy wydajność. Może będę miała sposobność mówić osobno o poczynaniach Tow. Rolniczego, o pracy legjonu instruktorów rolnych wojewódzkich i sejmikowych, o szkołach rolniczych męskich i żeńskich, kasach pożyczkowych, spółdzielniach mleczarskich, gęstą i coraz gęstszą siecią pokrywających Wołyń, i dziesiątkach innych instytucji samorządowych, które z roku na rok podnoszą dobrobyt Wołynia, przywiązując go pewniejszemi od innych węzłami do Państwa Polskiego.

Niestety, wiele lat jeszcze trzeba będzie myśleć o sposobach jaknajskuteczniejszych przywiązania tego kraju, szarpanego stale, pod gładką powierzchnią doskonałego spokoju, prądami bolszewickim i nacjonalistycznym. Należy uświadomić sobie, że równie zawodnym środkiem będzie tu polityka bezkrytycznego i źle zastosowanego ukrajinofilstwa, jak i naiwnie pojęta polonizacja. Nic nie pomoże gwałtowne „uświadamianie narodowe“ miejscowego chłopca, jeżeli po dziś dzień nie jest zupełnie, albo jest w niedostatecznej mierze uświadomiony obywatelsko. Będzie tylko wesołą anegdotką chłop, odmawiający składki na pomnik Mickiewicza, bo: „cóż to — nasz pan tyle ma dziesięcin, żeby mu biedni ludzie za życia na pomnik się składali?“ — ale najszkodliwszym elementem zostanie taki, który klnie Polskę i wzdycha do bolszewików na zasadzie „niemożliwych“ podatków gminnych, uchwalonych przez wybraną jego głosem radę gminną, i nie może zrozumieć, że źle gospodarująca rada nie jest mu narzucona zgóry przez „panów“. Agitacja antypaństwowa ukraińska, czy bolszewicka znajdzie w tych warunkach jaknajpodatniejszy grunt.

Można robić dowcipy na temat słupów drogowych przy wsiach, na których brakuje tylko dla in-

formacji przejezdnych napisu „system słoneczny, planeta Ziemia, Europa“, bo dalej stoi „Rzeczpospolita Polska, Województwo Wołyńskie etc.“, ale niestety, narazie czasem tylko taki słup mówi o tem, że tu panuje Rzeczpospolita Polska. Wiele czasu upłynie, zanim bez napisu, kładącego łopatą do głowy przynależność państwową, zechce chłop wołyński poczuć się obywatelom lojalnym Państwa, które mu daje jaknajszersze prawa, wzamian za równe wszystkim obowiązki.

P. Wera Tropaczyńska — Mogilica — w sprawie „Przystani“ dla desperatów.

Sprawa, poruszona przez p. S. Podhorską-Okołów i podkreślana później przez cały szereg pań, powinna znaleźć wśród nas tak żywy oddźwięk, że wszystkie, jak jedna, winnyśmy opowiedzieć się za nią, szlachetną inicjatywę poprzeć dziś słownie, jutro i to w najbliższe jutro, czynem konkretnym, owym jednodziennym, miesięcznym datkiem. Nie będę się długo rozwodziła nad tem, dlaczego trzeba owego naszego czynu, wspomnę tylko, że desperatów, przywróconych do życia, spotykałam i rozmawiałam z niektórymi. I bywało tak nieraz, że czułam się poprostu upokorzona, że nie mogę pomóc, bo coś dwie ręce i głowa, choćby najbardziej zapalona?

Należy więc wspólnemi siłami przystąpić do budowania owej przystani i schronienia dla zdesperowanych, a samotnych. Jak — i kto winien zacząć? Tyle nas... P. Kondyjowska słusznie zaznaczyła, że p. Stefanja Podhorska - Okołów, jako pierwszą rzeczniczka i inicjatorka tej szlachetnej sprawy, winna stanąć na czele organizacji. Trudno jednak rozporządzać czyimś czasem i — wola! Z drugiej strony musi się ktoś a i rychło znaleźć, ktoby akcję posunął naprzód na teren realnego konkretnego. Niech to będzie człowiek jeden, jak bywa zwykle, niech będzie bezpośrednio potem związek, komitet — zespół! Cieszyłabym się bardzo, gdyby p. Podhorska zechciała być tym człowiekiem i powołała do życia komitet. To sprawa najważniejsza. Druga, to składki, owe jednodzienniki. Nie sądzę, by znalazła się choćby owa biblijna dziesiątka w tym wypadku „nie - sprawiedliwych“, któraby orzekła, że „nam do tego nic“ i składki oraz czynnego udziału odmówiła. Poprostu nie wyobrażam sobie czytelniczki „Bluszczu“, któraby w takiej sprawie stanęła z boku, jako bierna obserwator, nie interesując się nią głębiej i żywiej. Więc składki będą. Myślę, że mogłyby one wpływać wprost do kasy organizacyjnej, albo, co może i lepsze byłoby, jako kwoty z jednego terenu, zebrane wpraw na nim, wysłane potem do Zarządu. Ażeby owe tereny mogły się poznać, trzeba dać im tę możliwość. Najłatwiej byłoby zorganizować to w następujący sposób: Czytelniczki „Bluszczu“, mieszkające w większych środowiskach, jak miasta powiatowe, wojewódzkie i t. p. mogłyby w każdym takim mieście zebrać się i zorganizować komitet miejscowy. Technika tej sprawy jest łatwa. Na prowincji znają się wszyscy i mogą porozumieć.

Przypuszczam, że Redakcja „Bluszczu“ nie odmówiłaby osobie, któraby się o to zwróciła, wykazu swych czytelniczek w danym mieście i okolicy. Poza tem, możnaby je zawiadomić o terminie zebrania na łamach „Mównicy“. Wybrany Komitet zająłby się inkasowaniem składek miesięcznych, a może i organizacją większych imprez dochodowych. Fundusze należałoby zgromadzić nieco większe i wtedy w Warszawie zorganizować komitet centralny, który utworzyłby „Przystań“ w stolicy. Jeżeli zaś składki zarówno warszawskie, jak i prowincjonalne dałyby pokażniejsze sumy, możnaby pomyśleć o utworzeniu „Przystani“ w większych miastach Polski.

I jeszcze jedno. Ongiś (2 Nr. „Bluszczu“) pisałam o potrzebie federacji związków kobiet samotnie pracujących. Czytałam potem odpowiedzi p. Persowskiej (mojej bliskiej sąsiadki), p. Szarkowej i króciutką wzmiankę p. Kondyjowskiej w jej słowie do Czytelniczek. „Zamiast myśleć o przystani dla siebie“... Czy Paniom, które życzliwie się na mój ówczesny projekt zapatrujecie, nie zdaje się, że ową sprawę pomocy desperatom możnaby złączyć ze sprawą poznania się wzajemnego odnośnie „ognisk siostrzanego ciepła i zrozumienia“? Nie dlatego, by sprawę pierwszą odłożyć ad acta, a zająć się wyłącznie sobą — i nie dlatego, żeby sprawy nieegoistyczne postawić na pierwszym miejscu, ale dlatego, że obie akcje mogą się doskonale wspierać i uzupełniać i obie społecznie mogą, naprawdę mogą stworzyć czyn konkretny i piękny. Trudno się zgodzić z p. Kondyjowską, by „zamiast“ przystani dla siebie budować przystań dla nieszczęśliwych, chciałabym właśnie, byśmy, budując przystań dla tych drugich, równocześnie zapobiegły nowym zjawiskom niedoli i krzywdy, byśmy z pośród siebie ochroniły kandydatki na tych „nieszczęśliwszych“ i z miejsca zdecydowanie powiedziały — dość niewoli — i tu i tam!

Białostoczanka T. E. S w odpowiedzi Poleszance.

Nawiązując do dyskusji w sprawie tytułomanji, poruszanej na łamach „Naszej Mównicy“, chcę rzucić kilka myśli, które nasunęły mi się w związku z rewelacjami pań, jednak kwestję tę pragnę poruszyć na płaszczyźnie nie tylko sfer wojskowych, ale ogólnie.

Od lat trzech jestem pilną czytelniczką „Bluszczu“, śledząc życie współczesnej kobiety we wszystkich dziedzinach pracy, kobiety-obywatelki, która zdobyła sobie uznanie, szacunek i chlubne miano pracownicy-architekta w Niepodległej Polsce.

Dorobek nasz twórczy widzimy dzisiaj w naszym życiu społeczno-kulturalnym, obserwujemy w ankietach i na zjazdach przeróżnych instytucyj, dorobek ten ujrzymy w całym majestacie w pawilonie „Pracy Kobiet“ na P. W. K. w Poznaniu.

Każda inteligentna kobieta, która interesuje się sprawami życia kobiecego, wie o tem, jest z tego

dumną i dodaje sobie bodźca do dalszej wytrwałej pracy, gdy jednak znajdzie się w salonach i usłyszy tytuły pań: generałowej, dyrektorowej, inżynierowej, naczelnikowej etc., wtedy ogarnia ją pesymizm i nasuwa się poważne refleksje.

Gdy zaś w większym lub mniejszym ośrodku prowincjonalnym śledzić zacznie życie i prasę miejscową, uderzy ją niemile okoliczność, że zawsze te same, tytułujące się panie angażują się wszędzie, aczkolwiek ich praca pozytywna pozostawia bardzo wiele do życzenia. Mamy więc „zawodowe“ kwestarki, sumiennie karotujące przechodniów, o „grosz wdowi“, mamy zawsze te same panie o tym samym „tytule mężowskim“ w zarządach różnych kół i stowarzyszeń społeczno-filantropijnych i tak usque ad finem!

Zachodzi więc pytanie, dlaczego te panie używają tak ciągle tytułu naukowego swych mężów.

Cóż — nikt im tego nie zabroni, boć prawo, jako takie, nie uwzględnia w swych paragrafach zakazu używania cenzusu naukowego męża przez żonę. Ale czy jest to właściwe i jaki cel?

Stopień naukowy samych tych pań jest czasami (a może i często) bardzo problematyczny, z tytułu męża za to korzysta się zawsze i wszędzie.

Tymczasem kobiety, zajmujące różne placówki naukowe i zawodowe, nie nadużywają swego tytułu naukowego, aczkolwiek prawo do niego zdobyły własną pracą. Rzecz to bardzo charakterystyczna i godna uwagi obserwatorek naszego ruchu i życia kobiecego!

A jak przykro jest, gdy — co zdarza się często — słyszymy potem złośliwe aluzje pod adresem tych quasi-działaczek, których jedyną nieraz zasługą i racją wyboru na różne stanowiska społeczne są tytuły i stanowiska ich mężów!

Czas już najwyższy porzucić konwenans tytułomanji, aby iść z postępem ducha czasu, jąć się rzeczywistej pracy, któraby Polsce przyniosła nie tytuły, lecz istotne, pilne spełnianie obowiązku obywatelskiego przez każdą kobietę.

P: N. N. z Poturzyna — w odpowiedzi p. Podhorskiej-Okołów i p. Kondyjowskiej.

Z prawdziwą przyjemnością czytam „Bluszcz“, w którym tyle i tak ważne sprawy bywają poruszane. Szczególne zainteresowanie wzbudził we mnie artykuł p. Podhorskiej-Okołów pod tyt. „Przystań dla desperatów“ i sądzę, że nie znajdzie się ani jedna z nas, która nie zechciałaby przyjść z pomocą wykonaniu tak pięknego pomysłu. Co do mnie, to chętnie zgadzam się płacić składki na powyższy cel, w okresach miesięcznych lub kwartalnych i w ilości uchwalonej przez ogół Pań.

Przy tej sposobności może zechce mnie którą z Pań zawiadomić, czy i na jaki cel mogą się przydać zużyte znaczki pocztowe?